„Zapomniany sztetl" w Szadowie pozwala zmierzyć się z trudną przeszłością Litwy | Dramatyczne polskie Sierpnie

Incydent w Ceucie zwiastuje wyzwanie migracyjne dla Europy | Nauczycielu, odpocznij w wakacje!

KURIER WILEŃSKI
MAGAZYN

8-14 sierpnia 2026 r.
Nr 31 (89)

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika na Litwie
Cena: 1 euro

Polska już podjęła zdecydowane kroki.

Przyjdzie czas na Litwę?

Polska zakazała telefonów w szkołach dzieciom do 15. roku życia — prawo wchodzi w życie 1 września. Starsi uczniowie też będą mieli ograniczenia. Na tle litewskich „rekomendacji" to krok drastyczny, ale eksperci potwierdzają, że sytuacja wymknęła się spod kontroli — dane są przerażające, a wpływ telefonów zaczyna przypominać skutki używek znanych od wieków.

Jednak **nauczycielka ekspert Chrystyna Masalska**, która ma doświadczenie nauczania z użyciem nowych technologii, mówi wprost: zakazy są dobre głównie dla najmłodszych, a najważniejszy jest przykład z domu. Jeśli ojciec pcha wózek i zamiast kontaktu z dzieckiem ogląda rolki w telefonie — trudno wymagać rozwagi od dzieci.

Dodaje, że zakazując czegoś, szkoły będą musiały ze wsparciem państwa dać coś w zamian: przestrzeń, uwagę, gry i inicjatywy, a nawet... zawodowo redagowaną gazetę — bo to „treść, która rozwija" i „realna alternatywa".

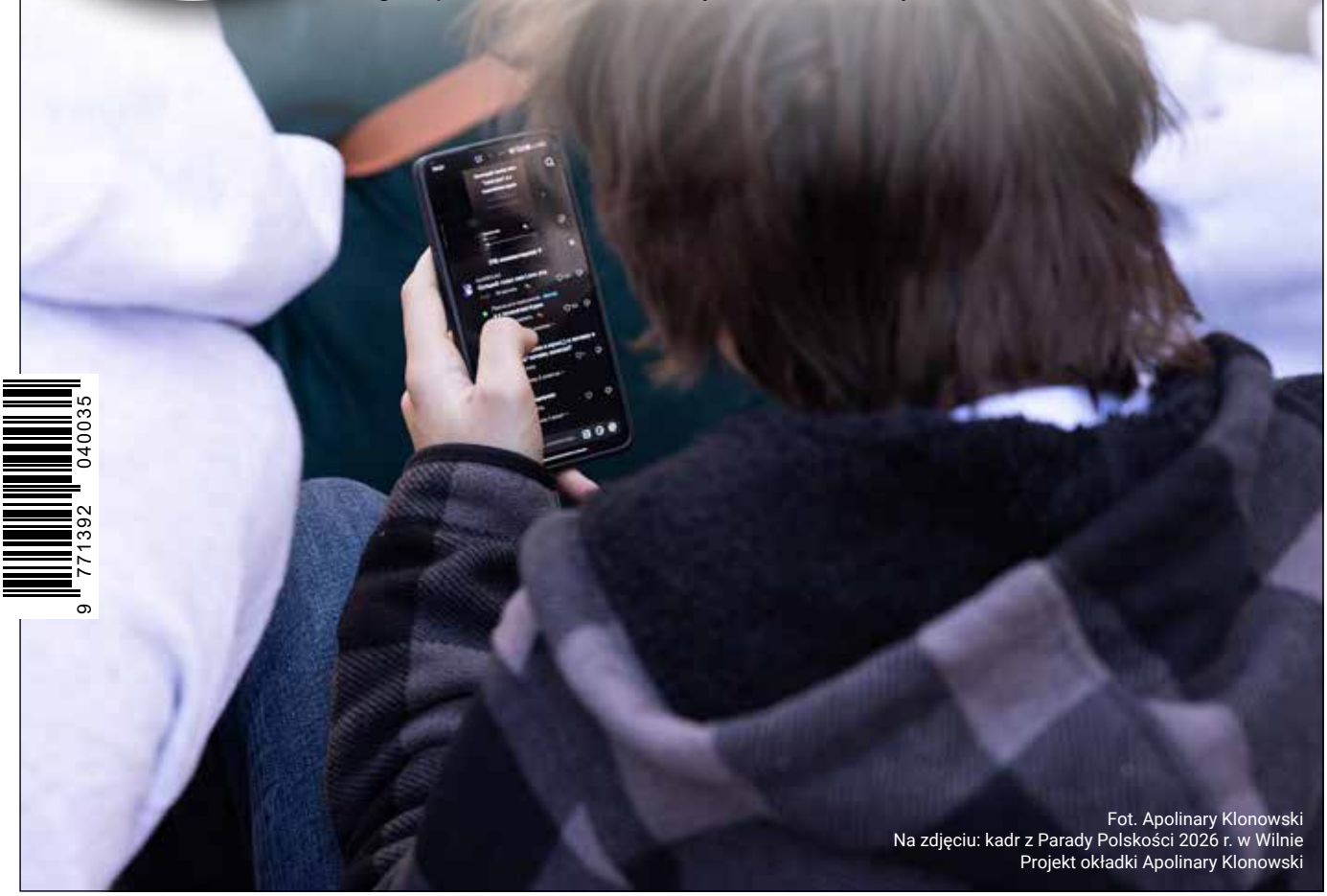

Fot. Apolinary Klonowski
Na zdjęciu: kadr z Parady Polskości 2026 r. w Wilnie
Projekt okładki Apolinary Klonowski

ISSN 1392-0405
9 771392 040035

eprasa.pl 46502a485c

KALENDARIUM

8 sierpnia

1920 – dowódca wojsk bolszewickich Michaił Tuchaczewski, siedząc w Mińsku Litewskim (dziś stolica Białorusi), wydał ostatnie rozkazy. Polacy potrzebowali „cudu", ponieważ informacyjnie Polacy byli na przegranej pozycji; w rezultacie głównie Węgrzy wysłali pomoc. Jedna z ich fabryk produkowała amunicję tylko dla Polski.

9 sierpnia

1939 – do portu w Leningradzie przybyły statki z delegacją wojskową Francji i Wielkiej Brytanii. Mocarstwa zachodnie negocjowały z Sowietami pakt o wzajemnej pomocy – alternatywę dla układu z Niemcami. Rozmowy skończyły się fiaskiem: 23 sierpnia Hitler i Stalin podzielili między sobą Europę i zaczęli współpracę.

10 sierpnia

1920 – arcybiskup metropolita warszawski Aleksander Kakowski zarządził specjalne modlitwy przed Najświętszym Sakramentem po każdej mszy świętej w intencji ocalenia Warszawy. Od kilku dni trwała nowenna do patronów stolicy. W jej ostatnim dniu znad Wkry i Wieprza ruszyła polska kontrofensywa, która odrzuciła bolszewików na wschód.

11 sierpnia

1920 – zbliżające się ku Warszawie armie Tuchaczewskiego wsparł marionetkowy „rząd" Polski – Tymczasowy Komitet Rewolucyjny. Rozprowadzano propagandowe ulotki. Bolszewicy po upadku Imperium Rosyjskiego jeszcze nie odtworzyli kadr, więc pisma były często z błędami gramatycznymi i nie tak skuteczne, jak okażą się za kilka dekad.

12 sierpnia

1399 – jedna z największych bitew europejskich średniowiecza, bitwa nad Worsklą (dziś Ukraina, obwód połtawski). Wielkie Księstwo Litewskie stanęło naprzeciw Złotej Ordzie dowodzonej przez wodza Edygeja. Złota Orda zwyciężyła, miała lepszą taktykę i rozpoznanie terenu, w dodatku zgromadziła się w tajemnicy.

13 sierpnia

1394 – teutońska flota z materiałem budowlanym wpłynęła Niemnem ku wyspie, na której niegdyś stał drewniany zamek Ritterswerder. Jednak, jak to opisał J.I. Kraszewski, „Witold z dawna dobrze wiedząc o wszystkiem od żmudzkich szpiegów swoich, ciągnie z silnem wojskiem, Litwą i Polakami, dla przeszkodzenia robotom".

14 sierpnia

1385 – w zamku w Krewie (dziś Białoruś) Jagiełło wystawił akt – umowę przedślubną, która miała uczynić z niego króla Polski. W zamian zobowiązał się poślubić Jadwigę, ochrzcić Litwę. Akt krewski otwierał nową epokę: wspólnotę narodów połączoną unią personalną na ponad dwa wieki, która później przerośnie do unii realnej.

Robert Mickiewicz

Na wycieczkę do świata, którego już nie ma

Niniejszy numer wydania magazynowego „Kuriera Wileńskiego" jest kolejnym wydaniem urlopowym. To wcale nie oznacza, że zespół redakcji gremialnie udał się na urlop. Pracujemy w pełnym znaczenia tego słowa – w pocie czoła. Ten numer po prostu jako kolejny opowiada o miejscach na Litwie, do których warto wybrać się podczas letnich wakacji.

Zacznę od nieoczywistego na pierwszy rzut oka urlopowego tematu. Nasza autorka Brenda Mazur pisze o współczesnym litewskim muzyku, mniej znanym starszemu pokoleniu naszych Czytelników, ale i młodsze na pewno nie kojarzy, że gwiazda litewskiego indie-popu i indie-rocka jest Polakiem. „Dla fanów jest Olegiem Jerochinem – gitarzystą, wokalistą, kompozytorem i założycielem jednego z najpopularniejszych litewskich zespołów ostatnich lat, Sisters on Wire. Dla najbliższych pozostaje po prostu Leszkiem. Tak też go nazywali koledzy na korytarzach polskiego gimnazjum Joachima Lelewela, które ukończył" – zaczyna swój artykuł Brenda Mazur. Co Leszek-Oleg i Sisters on Wire mają do urlopów? 15 sierpnia zespół zaprasza publiczność na swój letni koncert do Połągi.

> Wizyta w muzeum może stać się pretekstem do poznania mniej oczywistej części kraju i jego wielokulturowego dziedzictwa.

A jeśli już szanowni Czytelnicy znajdą się nad litewskim wybrzeżem Bałtyku, to z Połągi będzie rzut beretem do Kretyngi. Właśnie do położonego w tej miejscowości kolejnego pałacu hrabiów Tyszkiewiczów zaprasza Justyna Giedrojć.

Z kolei Ilona Lewandowska opisuje miejsce zupełnie niekojarzące się z ewentualną wyprawą turystyczną – do Szadowa (lit. Šeduva). A warto tam się wybrać. To nieduże miasteczko na północy Litwy ma wyjątkowe muzeum – „Zaginiony sztetl" (lit. Dingęs štetlas). Jak powiedział „Kurierowi Wileńskiemu" historyk Jarosław Wołkonowski, badacz dziejów Żydów na Litwie – muzeum ukazuje historię Żydów na Litwie od początku pojawienia się tej mniejszości narodowej na tych terenach do lata 1941 r., kiedy została unicestwiona w tym miasteczku. Jak pisze nasza autorka, Szadów znajduje się poza głównym turystycznym szlakiem, ale właśnie dzięki temu wizyta w muzeum może stać się pretekstem do poznania mniej oczywistej części kraju i jego wielokulturowego dziedzictwa.

Robert Mickiewicz

KURIER WILEŃSKI MAGAZYN Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor naczelny:** Robert Mickiewicz. **Zastępcy redaktora naczelnego:** Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski. **Sekretarz redakcji:** Piotr Łukasik. **Dziennikarze:** Honorata Adamowicz, Justyna Giedrojć, Brenda Mazur, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocki, Anna Pawiłowicz-Janczys, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk. **Fotoreporterzy:** Marian Paluszkiewicz. **Skład i łamanie:** Halina Taukin. **Dział Online:** Janina Jarosz, Jolanta Balkiewicz, Apolinary Klonowski. **Dział promocji:** Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt) i reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wilenski", Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis". Nakład: 2500 egz.

Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2026 roku. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Senatu RP, Kancelarii Senatu RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbieżne z opinią redakcji.

Fundacja POMOC POLAKOM NA WSCHODZIE im. Jana Olszewskiego
FEDERACJA MEDIÓW POLSKICH NA WSCHODZIE
DZIENNIK NALEŻY DO EUROPEJSKIEGO STOWARZYSZENIA GAZET CODZIENNYCH MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH MIDAS

eprasa.pl 46502a485c

Jarosław Tomczyk

Polski Sierpień

Czas jest nieubłagany. Coraz mniej wśród nas powstańców warszawskich, ale wciąż jeszcze są, a kiedy zabierają głos, potrafią chwycić za serce tak, że łzy same napływają do oczu.

Anna Przedpełska-Trzeciakowska ma 99 lat. W Powstaniu Warszawskim była sanitariuszką „Grodzką", po wojnie – cenioną tłumaczką literatury amerykańskiej i angielskiej, szczególnie powieści Jane Austen. Jednej ze stacji telewizyjnych dała się kilka dni temu namówić na wspomnienia tamtych sierpniowych dni. Przypomniała postać ukochanego, jedynego brata Andrzeja, który poległ na jej oczach na barykadzie. Mówiła o tym, jakby zdarzyło się wczoraj: „Dostał kulę w skroń. Z tym że ja byłam przy nim do końca. Byliśmy razem. To brzmi dramatycznie, ale myśmy razem umierali po prostu. Jędrek był tym cudownym dzieckiem, tym moim wspaniałym bratem, bardzo dobrym strzelcem. Trzeba było go jakoś pochować. To wcale nie jest mała rzecz. Zawinęliśmy Jędrka w sztandar. To była jedyna rzecz. Nie wiem, czy to wolno, bo zasadniczo sztandar nie powinien iść do ziemi, ale myśmy to zrobili i tak się skończył naprawdę największy, najsilniejszy, najmocniejszy związek na tej Ziemi".

> Sami prosimy się o kolejne dramatyczne Sierpnie, jakby tych, które za nami, nam nie wystarczało.

Historia powstańczego zrywu przepełniona jest ludzkimi dramatami; nadal spieramy się i pewnie już zawsze będziemy o jego sens. Przedpełska-Trzeciakowska, mimo tak bolesnych i wciąż niezagojonych ran, nie ma wątpliwości, że ono musiało wybuchnąć. Jednocześnie z jej wypowiedzi wybrzmiewa inne pytanie. Ważniejsze, bo wciąż aktualne: czy potrafimy właściwie docenić i wyciągać wnioski? Pani Annie nie chodzi o patetyczne gesty i dumne uroczystości, ale nasze, jako społeczeństwa, codzienne zachowania. Ze smutkiem konstatuje, że patrząc na nie, łamie się jej wiara i zaufanie do tego, że dla tego społeczeństwa warto wiele poświęcić. Bardzo to gorzka konstatacja u schyłku życia, co gorsza, nie mam żadnych złudzeń, że pędzący świat zechce jej posłuchać.

Polski Sierpień to nie tylko Powstanie '44, to za chwilę rocznica Cudu nad Wisłą, a na jego koniec – Porozumień Sierpniowych. No właśnie, porozumień. Szafujemy dziś tym słowem w przestrzeni publicznej, ale trudno dać wiarę, że ktokolwiek z używających go faktycznie o porozumieniu myśli. Nurzamy się w naszej polsko-polskiej wojence, dzielimy, polaryzujemy, obarczamy winą wszystkich, widzimy drzazgi w ich oczach, tylko w naszej źrenicy nie dostrzegamy żadnej belki. Sami prosimy się o kolejne dramatyczne Sierpnie, jakby tych, które za nami, nam nie wystarczało. Nadzieja tylko w Najwyższym. W stronę Częstochowy kroczą już pielgrzymki. „Zwycięska Pani Jasnogórska – módl się za nami".

KURIER WILEŃSKI

Prenumerata

na kolejny miesiąc oraz do końca br.
trwa do 28 dnia każdego miesiąca

Wydanie codzienne (kod 0044)
Na miesiąc 10 €
Na 6 miesięcy 54 €
Na rok 105 €

Wydanie magazynowe (kod 0172)
Na miesiąc 4 €
Na 6 miesięcy 21 €
Na rok 40 €

Dla osób niepełnosprawnych oraz emerytów:

Wydanie codzienne (kod 0227)
Na miesiąc 9 €
Na 6 miesięcy 49 €
Na rok 93 €

„Kurier Wileński" można zaprenumerować:

- w każdym urzędzie pocztowym (Lietuvos paštas)
- drogą elektroniczną: www.prenumeruok.lt

Zasięgnąć informacji można pod nr. tel. (8-5) 260 84 44, Birbynių g. 4A, LT-02121 Vilnius kolport@kurierwilenski.lt, www.kurierwilenski.lt

eprasa.pl 46502a485c

Muzeum, które pozwala zmierzyć się z trudną przeszłością

Ilona **Lewandowska**

Świat, którego już nie ma. „Zaginiony sztetl” w Szadowie opowiada historię, której Litwa nie może zapomnieć. To muzeum wpisuje się w szerszą debatę o pamięci żydowskiej, o relacjach litewsko-żydowskich i polityce historycznej Litwy.

„Zaginiony sztetl” nie jest wyłącznie opowieścią o żydowskim Szadowie. To także muzeum historii Litwy, pokazujące jej wielokulturowe dziedzictwo, a następnie dramatyczne wydarzenia XX w. **Fot. Ilona Lewandowska**

Do muzeum „Zaginiony sztetl” (lit. Dingęs štetlas) w Szadowie nie wchodzi się od razu z ruchliwej ulicy, jak to bywa dużych miastach. Najpierw trzeba przejść przez przestrzeń, która sama staje się częścią opowieści: przez park, obok starego cmentarza żydowskiego, aż do głównego budynku. Dopiero po kilkudziesięciu krokach wyłania się muzeum.

Ten sposób wejścia ma znaczenie. Zanim zwiedzający zobaczy pierwszą gablotę, znajduje się w miejscu, które przypomina, że historia nie wydarzyła się w abstrakcji. Żyli tu konkretni ludzie, tworzyli swoje domy, rodziny, szkoły, miejsca modlitwy i pracy.

– Kiedy robimy pierwsze kroki i wchodzimy na teren muzeum – od parkingu, przez okazały park, cmentarz, aż po sam budynek – wszędzie odczuwamy, że każdy element jest starannie przemyślany i dopracowany do perfekcji – mówi dr hab. Jarosław Wołkonowski, prof. UwB, badacz dziejów Żydów na Litwie. Jego zdaniem już sama koncepcja przestrzeni przygotowuje zwiedzającego do poznania historii. – Koncepcja narracyjna jest bardzo dobrze opracowana, ukazuje historię Żydów na Litwie od początku pojawienia się tej mniejszości narodowej na tych terenach do lata 1941 r., kiedy została unicestwiona w tym miasteczku.

Szczególne znaczenie ma sąsiedztwo muzeum i starego cmentarza żydowskiego. To właśnie ono nadaje miejscu wyjątkową, niemal namacalną perspektywę czasu. Cmentarz, na którym odnaleziono ok. 1300 nagrobków i ich fragmentów, z najstarszymi zidentyfikowanymi pochówkami pochodzącymi z końca XVIII w., jest materialnym świadectwem wielopokoleniowej obecności żydowskiej społeczności Szadowa. Muzeum opowiada o życiu tego świata, a cmentarz pozostaje jego rzeczywistym śladem.

Razem tworzą przestrzeń, w której szczególnie wyraźnie można poczuć długowieczność utraconego miasteczka. Nie jest to historia społeczności, która pojawiła się nagle i równie nagle zniknęła. To historia świata budowanego przez stulecia, którego kres przyniosła Zagłada.

– Budynek współgra z otoczeniem. To jest naprawdę mistrzostwo – stworzyć coś, w czym przestrzeń wokół muzeum staje się jego częścią – ocenia dr Martyna Rusiniak-Karwat z Instytutu Studiów Politycznych PAN. – Cały kompleks składa się z mniejszych budyneczków, co jest bardzo ciekawe. »

eprasa.pl 46502a485c

Wszystko współgra z otoczeniem. Zastanawiam się, jak wygląda to zimą. Następnym razem chciałabym pojechać zimą, żeby zobaczyć, jak ta przestrzeń koreluje z wystawą.

Architektura, która opowiada

Muzeum zaprojektował fiński architekt Rainer Mahlamäki wraz z pracownią Lahdelma & Mahlamäki Architects. Budynek jest konceptualną interpretacją utraconego sztetlu. Jego bryła nawiązuje do tradycyjnej zabudowy miasteczka, a dachy przywołują obraz domów nieistniejącej już społeczności. W centrum kompozycji pojawia się sylwetka synagogi – symbolicznego serca dawnego życia.

W Szadowie granica między architekturą, krajobrazem i ekspozycją jest płynna. Muzeum nie jest jedynie budynkiem, w którym umieszczono wystawę. Jest narracją rozpisaną na przestrzeń. Zwiedzający stopniowo zanurza się w opowieści o świecie szteltu, który przez stulecia był częścią historii Litwy i Europy Wschodniej.

– Sposób opowieści o życiu żydowskim na Litwie i w Szadowie jest bardzo oryginalny, przekonujący, zrozumiały i przystępny dla każdego zwiedzającego, niezależnie od zasobu wiedzy z tej tematyki – mówi Wołkonowski. Jak podkreśla, przekaz muzeum opiera się na współczesnych badaniach, zgromadzonych artefaktach, unikalnych fotografiach, krótkich narracyjnych opowieściach oraz filmach przedstawiających życie Żydów w okresie międzywojennym i podczas II wojny światowej.

Rusiniak-Karwat zwraca uwagę, że siłą wystawy jest jej wielozmysłowość. Można nie tylko oglądać eksponaty, lecz także słuchać muzyki i odgłosów dawnego sztetlu, dotykać przedmiotów, otwierać szuflady, poznawać repliki artefaktów. Szczególne wrażenie zrobiły na niej cztery metalowe naczynia, które po naciśnięciu przycisku uwalniają zapachy przywołujące miniony świat.

Muzeum dla ludzi

Wystawa została zaprojektowana tak, aby była dostępna dla różnych odbiorców, także osób z niepełnosprawnościami, dzieci i osób niewidzących. –

Sposób opowieści o życiu żydowskim na Litwie i w Szadowie jest bardzo oryginalny, przekonujący, zrozumiały i przystępny dla każdego zwiedzającego
Fot. Ilona Lewandowska

Poszłabym tam z dzieckiem w każdym wieku – mówi Rusiniak-Karwat. – Nawet siedmio- czy ośmioletnie znalazłoby tam ciekawe obiekty. Może takiego małego dziecka nie zaprowadziłabym do części opowiadającej o Zagładzie, ale pod tym względem muzeum również zostało bardzo dobrze zaplanowane.

Jak zauważa rozmówczyni „Kuriera Wileńskiego", ścieżka zwiedzania pozwala ominąć najbardziej drastyczne fragmenty wystawy, zaznaczone są miejsca dla zwiedzających powyżej 12. roku życia, dzięki czemu muzeum może być miejscem rodzinnej edukacji historycznej, dostosowanej do wieku odbiorców.

– To jest muzeum dla ludzi. Przeszłości można doświadczać wszystkimi zmysłami, co jest ważne szczególnie dla dzieci. Jest muzyka i odgłosy dawnego sztetlu, można nawet powąchać zapachów, które kiedyś tam mogły tam być. Obok autentycznych eksponatów mamy sporo replik, które można dotknąć, dokładnie obejrzeć.

Wystawa nie przytłacza tekstem. Informacje są obecne, ale nie dominują. Opowieść prowadzą także przedmioty, fotografie, filmy i tzw. museum voices – krótkie wprowadzenia do poszczególnych sal przygotowane przez uznanych badaczy pamięci i historii.

– Ważnym elementem ekspozycji są filmy o życiu i historii miasteczka. To one prowadzą w bardzo sugestywny sposób przez historie miasteczka. Tekstu nie ma dużo, ale jest obecny wszędzie. I co ważne, nie dominuje wystawy. Możesz przeczytać tylko te główne tablice, a resztę opowiadają eksponaty i filmy– zauważa Rusiniak-Karwat.

Trudne pytania o Zagładę

„Zaginiony sztetl" nie jest wyłącznie opowieścią o żydowskim Szadowie. To także muzeum historii Litwy, pokazujące jej wielokulturowe dziedzictwo, a następnie dramatyczne wydarzenia XX w.

– Wystawa przedstawia m.in. okres okupacji sowieckiej i deportacji oraz wydarzenia lat 1939–1941. Zajmuję się badaniem tego okresu na Litwie, więc bardzo dokładnie obejrzałam tę część ekspozycji. W muzeum dostałam pigułkę wiedzy. Gdybym dopiero zaczynała badania, byłby to świetny punkt wyjścia – mówi Rusiniak-Karwat.

Najtrudniejsza część ekspozycji dotyczy Zagłady litewskich Żydów. Muzeum nie zatrzymuje się na nostalgicznej opowieści o utraconym świecie. Pokazuje antysemityzm, mechanizmy przemocy, strukturę zbrodni, a także sprawców i ich odpowiedzialność. Znajduje się tu m.in. kartoteka litewskich pomocników zawierająca zdjęcia, nazwiska, informacje o wyrokach i motywacjach, a także cytaty z przesłuchań.

– To się bardzo rzadko zdarza, żeby muzeum pokazywało oprawców w taki sposób – mówi Rusiniak-Karwat.

Jarosław Wołkonowski ocenia tę część wystawy jako szczególnie »

eprasa.pl 46502a485c

ważną dla współczesnej Litwy. – Zagłada oraz przyczyny unicestwienia mniejszości żydowskiej na Litwie są ukazane w muzeum obiektywnie, dostępnie, przekonująco, w oparciu o dogłębną współczesną wiedzę. Dla litewskiego odbiorcy ten przekaz stanowi nowe odkrycie bolesnych kart historii Litwy i dla niejednego mieszkańca Litwy będzie wyzwaniem – podkreśla.

Jego zdaniem muzeum podejmuje temat, który przez lata nie był przedstawiany w sposób wystarczająco bezpośredni. – Władze Litwy wykazały się odwagą, udzielając zgody na zbudowanie takiego muzeum i takiego przekazu. Narracja w sprawie mordowania cywilnej ludności żydowskiej jest odważna i przełomowa – jest to pierwsze takie muzeum. Do tej pory ten wątek był przedstawiany z pominięciem źródła nienawiści Litwinów do mniejszości żydowskiej.

Dlatego „Zaginiony sztelt" ma znaczenie wykraczające daleko poza Szadów. Jest ważnym miejscem dla Litwy, jej pamięci historycznej i edukacji kolejnych pokoleń. Pozwala młodym ludziom poznać nie tylko historię żydowskiej społeczności, lecz także zrozumieć, jak wyglądało wielokulturowe społeczeństwo, co doprowadziło do jego rozpadu i jakie były konsekwencje Zagłady.

– Potencjał edukacyjny i rola muzeum w przełamaniu ugruntowanych wcześniej stereotypów są bardzo duże – ocenia Wołkonowski. – Ta narracja muzeum w zasadzie może być skuteczna dla młodszych litewskich odbiorców i osób spoza środowiska naukowego, dając nowe spojrzenie na te wydarzenia. Przekaz ten jest logiczny, oparty na badaniach i mocnych dowodach oraz na zgromadzonych artefaktach.

Pamięć jako droga do pojednania

Ważnym elementem misji muzeum jest nie tylko zachowanie pamięci o zamordowanych, lecz także zmierzenie się z trudną przeszłością. W tym sensie „Zaginiony sztetl" wpisuje się w szerszą debatę o pamięci żydowskiej na Litwie, relacjach litewsko-żydowskich i polityce historycznej.

– Muzeum wpisuje się w szerszą debatę o pamięci żydowskiej, o relacjach litewsko-żydowskich i polityce historycznej Litwy. Co więcej, przekaz, jaki powstaje po zwiedzeniu muzeum, stanowi faktycznie nowe spojrzenie oparte na głębszej refleksji – mówi Wołkonowski. Jego zdaniem droga do pojednania wymaga nie tylko pamięci o ofiarach, lecz także odwagi w nazywaniu odpowiedzialności. – Ekspozycja muzeum potwierdza w zasadzie moje badania na temat polityki historycznej Litwy w płaszczyźnie trudnych relacji litewsko-żydowskich. Prezydent Algirdas Brazauskas przeprosił w imieniu narodu litewskiego (dokonał tego kilka razy) podczas wizyty w Knesecie. Ale wtedy i jeszcze dzisiaj są głosy protestów, co prawda nielicznych, po co on to robił. Obecna sytuacja rezonuje z moim poglądem, że droga do dalszego współistnienia litewsko-żydowskiego prowadzi przez trudny dialog dojścia do prawdy historycznej, ukazania winnych tych zbrodni oraz przyczyn, oficjalnych przeprosin i zadośćuczynienia. Narracja tego muzeum mieści się i rezonuje z przedstawioną powyżej drogą, która może doprowadzić do pojednania. To właśnie dlatego znaczenie „Zaginionego sztetlu" jest tak duże. Muzeum nie pozwala zamknąć historii Szadowa wyłącznie w przeszłości. Pokazuje, że pamięć jest częścią współczesnej odpowiedzialności – wobec ofiar, ich potomków, ale także wobec przyszłych pokoleń.

Szczególne znaczenie ma sąsiedztwo muzeum i starego cmentarza żydowskiego **Fot. Ilona Lewandowska**

Warto wybrać się dalej od Wilna

„Zaginiony sztelt" jest także ważnym powodem, by spojrzeć na Litwę szerzej niż tylko przez pryzmat Wilna. Szadów znajduje się poza głównym turystycznym szlakiem, ale właśnie dzięki temu wizyta w muzeum może stać się pretekstem do poznania mniej oczywistej części kraju i jego wielokulturowego dziedzictwa.

To miejsce pokazuje, że najważniejsze opowieści o historii Litwy nie zawsze usłyszymy w pobliży największych miast. A to, co odnajdziemy, może przerosnąć nasze oczekiwania.

– Jechałam tam, wiedząc tylko, że to muzeum sztetlu. Nie wyobrażałam sobie, co tam będzie: czy cała historia Litwy, czy tylko Szadowa. I zostałam pozytywnie zaskoczona – wspomina Rusiniak-Karwat. – Miałam wrażenie, że idę po świecie, którego już nie ma, więc twórcom muzeum udało się osiągnąć to, co zamierzali.

– Odwiedzający wychodzi z tego miejsca z wiedzą i z emocjami – mówi Rusiniak-Karwat. – Rozumiem, dlaczego ludzie wracają zachwyceni. To jedna z tych wystaw, do których chętnie wróciłabym ponownie. Może dlatego, że to wszystko jest takie... bardzo idealne. Jedziesz tam i wszystko jest piękne. Budynek jest bardzo ładny, muzeum zaprojektowane niezwykle precyzyjnie – opowiada. – Nie ma tam pokazanych tych mniej idealnych elementów rzeczywistości – przecież żaden sztetl nie był doskonały. Po prostu wychodzisz z tego miejsca z nostalgią za czymś, co się już skończyło, bezpowrotnie przeminęło – dzieli się swoimi spostrzeżeniami.

eprasa.pl 46502a485c

Europa pozostaje atrakcyjnym miejscem docelowym dla migrantów

Rozmawiał Jarosław **Tomczyk**

Unia Europejska jest w dalszym ciągu bardzo wrażliwa na kwestię powtórki kryzysu migracyjnego z 2015 r., mimo że sytuacja się poprawiła. Na tych obawach społecznych politycy mogą wciąż wygrywać kampanie wyborcze i próbują to robić – mówi dr Jolanta Szymańska, analityczka z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Jolanta Szymańska: Jako Unia Europejska mamy bardzo niestabilne sąsiedztwo. Czeka nas wiele wyzwań
Fot. PISM, materiały prasowe

Jarosław Tomczyk: Dziesięć lat temu prognozowała Pani, że presja migracyjna na Europę to tykająca bomba. Będzie rosła, a Unia Europejska nie ma dobrych pomysłów ani rozwiązań. Coś się zmieniło?
Jolanta Szymańska: Gdy porównamy sytuację kryzysu migracyjnego z 2015 r. z obecną, to stwierdzimy, że dzisiaj jest ona znacznie korzystniejsza. Co nie zmiana faktu, że Europa zawsze będzie atrakcyjnym miejscem docelowym dla migrantów, zarówno tych przymusowych, jak i tych poszukujących lepszego miejsca do życia. W ujęciu statystycznym, w 2015 r., w czasie eskalacji kryzysu migracyjnego, mieliśmy prawie 2 mln przypadków nieuregulowanego przekroczenia granic Unii Europejskiej. W zeszłym roku było to 150 tys., więc skala jest zdecydowanie mniejsza niż przed dekadą. Natomiast poszukiwania recept na to, jak sobie radzić z kryzysami, trwają i trwać będą cały czas, dlatego że jako Unia Europejska mamy bardzo niestabilne sąsiedztwo. Czeka nas wiele wyzwań. Mamy przypadki politycznej chęci instrumentalizacji migracji. Powiedziałabym nawet, że to zjawisko na przestrzeni dekady zyskało na sile, co niestety, może być też lekcją wyciągniętą z kryzysu migracyjnego przez państwa sąsiadujące z Unią Europejską.

30 i 31 lipca w Ceucie, hiszpańskiej eksklawie leżącej w Afryce, doszło do kolejnego incydentu z nielegalnymi migrantami. Co tak naprawdę się tam wydarzyło?
To, co wiemy na pewno, to że ok. 60 tys. osób w ciągu zaledwie dwóch dni przybyło na terytorium Ceuty. Interpretacje tego, co rzeczywiście zaszło, są różne, ale tak naprawdę tego nie wiemy, musimy poczekać na wyjaśnienie przez hiszpańskie służby. W pierwszych godzinach pojawiła się interpretacja, że to wyrok hiszpańskiego sądu stał się przesłanką dla instrumentalizacji migracji przez władze Maroka, które zachęcając potencjalnych migrantów, obiecywały im, że będą mogły na mocy tego wyroku pozostać na terytorium »

eprasa.pl 46502a485c

Hiszpanii bezpiecznie i nie zostaną zawróceni. Co zrozumiałe, władze Maroka dementują te doniesienia. Współpracowały też z Hiszpanią w deportacji przybyszów na terytorium Maroka.
Sprawa wymaga dogłębnego wyjaśnienia, czemu służyło m.in. spotkanie ministrów spraw wewnętrznych krajów Unii Europejskiej, do którego doszło 4 sierpnia. Musimy pamiętać, że problemy w Ceucie powracają. Dotychczas mieliśmy do czynienia przede wszystkim z forsowaniem granicy lądowej. Powszechnie znamy obrazki z zasiekami na tej granicy. Teraz mieliśmy przypadek prób przedostania się na terytorium Hiszpanii drogą morską.

Około 60 tys. osób w ciągu zaledwie dwóch dni przybyło na terytorium Ceuty, hiszpańskiej eksklawy na terenie Maroka. Interpretacje tego, co rzeczywiście zaszło, są różne **Fot. Jalal Morchidi, EPA-ELTA**

Wspomniany przez Panią wyrok mówił, że ci, którzy dostaną się właśnie drogą morską, nie będą mogli być odesłani.
Jak wskazują władze Hiszpanii, wyrok był źle interpretowany, a jego błędna interpretacja stała się zachętą. W praktyce, co zobaczyliśmy, nie blokowało to możliwości deportacji osób. Większość z nich została bardzo szybko zawrócona.

Były też liczne głosy, że to unijny pakt migracyjny jest czynnikiem zachęcającym migrantów.
Tymczasem obowiązujący formalnie od czerwca pakt wzmocnił i przyspieszył procedury graniczne i deportacyjne. Pakt na pewno nie jest problemem, a wręcz pełna jego implementacja do systemów prawnych państw członkowskich może wesprzeć działania przeciw takim próbom forsowania granic. To trzeba podkreślić i pamiętać.

Te fałszywe interpretacje zdają się być celowo propagowane w przestrzeni publicznej, służąc określonym interesom tych, którzy migrację chcą instrumentalizować.
W Unii Europejskiej jesteśmy w specyficznym okresie. W wielu dużych unijnych państwach trwają kampanie wyborcze. Tego typu elementy jak incydenty graniczne są w nich paliwem. Polityka migracyjna od lat jest wykorzystywana do mobilizowania wyborców zwłaszcza przez skrajną prawicę.
Wiemy, że na terytorium unijnym są partie polityczne, które bardzo chętnie grają tym motywem i także tym, co się wydarzyło w Ceucie. Powoduje to panikę, oburzenie i dyskusje. Jest elementem zachęcającym tych, którzy chcą instrumentalizować migrację, by korzystać z tego narzędzia do destabilizowania sytuacji politycznej w wielu krajach, polaryzowania społeczeństwa. Pozwala osiągać cele, które ci aktorzy sobie stawiają. Panika, którą ta sytuacja spowodowała, jest ich zamierzonym celem, pokazuje, że Unia Europejska jest w dalszym ciągu bardzo wrażliwa na kwestię powtórki kryzysu migracyjnego z 2015 r. Na tych obawach społecznych politycy mogą wciąż wygrywać kampanie wyborcze i próbują to robić.

Warto zauważyć sprzeczności w narracji populistów, która jest zupełnie niespójna. Z jednej strony głoszą, że Ceuta jest marokańska, z drugiej – że islamiści atakują Europę.
Tak zazwyczaj działają kampanie dezinformacyjne i polaryzujące. One niekoniecznie muszą być logicznie spójne, mają wywoływać poczucie zagrożenia, obawy, niepewności. Natomiast jeśli chodzi o współpracę Unii Europejskiej z Marokiem, to niezależnie od tego, czy w tym wypadku doszło do instrumentalizacji, czy nie, wymagany jest jej przegląd. Nawet jeśli założymy, że władze Maroka nie były zaangażowane w proceder w Ceucie, to jednak do incydentu doszło. Oznacza to, że kontrola granicy marokańskiej nie jest odpowiednia, a Unia Europejska współpracuje z Marokiem w tym zakresie od dłuższego czasu. Wymaga to wyjaśnienia i rewizji, ustalenia, co należy poprawić, aby do takich sytuacji nie dochodziło. Pytanie tylko o polityczną motywację, o to, czy Maroko faktycznie chce współpracy i czy jest wiarygodnym partnerem.

Pojawiają się też pytania o to, czy za incydentem w Ceucie mogą stać Stany Zjednoczone i Izrael, wobec których hiszpański rząd premiera Pedra Sáncheza był w ostatnim czasie mocno krytyczny, a które to kraje są w bliskich relacjach z Marokiem.
To są kwestie dla służb, które tę sprawę muszą wyjaśnić. Takie interpretacje faktycznie się pojawiły, potem były dementowane, wymaga to sprawdzenia. Owszem, premier Sánchez faktycznie był tym, który dość odważnie sprzeciwiał się polityce Stanów Zjednoczonych i Izraela, napięć na linii tych »

eprasa.pl 46502a485c

krajów nie brakowało. Natomiast pytanie, czy było to przesłanką do inspirowania władz Maroka przez USA bądź Izrael do instrumentalizacji kwestii Ceuty, jest pytaniem otwartym. Ja na nie w tym momencie nie odpowiem, bo nie chciałabym wpisywać się w nurt interpretatorów rzeczywistości bez opierania się na faktach, które dopiero zostaną zbadane, bo to wyłącznie nakręca tę spiralę. Trzeba po prostu spokojnie zaczekać na efekty pracy służb, nie eskalować niepotrzebnie emocji.

Dr Jolanta Szymańska

Jest koordynatorką programu Unia Europejska w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, instytucji podległej MSZ RP. Jej zainteresowania badawcze obejmują politykę migracyjną i obszar spraw wewnętrznych UE oraz system instytucjonalny UE. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim i w Krajowej Szkole Administracji Publicznej. Jest autorką licznych publikacji naukowych dot. systemu politycznego Unii Europejskiej oraz polityki migracyjnej UE.

Niepokojąca wydaje się reakcja Europy. Zamiast bronić integralności terytorialnej Hiszpanii, państwa unijnego i sojusznika w ramach NATO, Włochy domagały się jej wykluczenia ze strefy Schengen.

W kwestiach migracyjnych brak zaufania między państwami utrzymuje się od czasu kryzysu migracyjnego 2015 r. Od tamtego momentu wiele państw utrzymuje kontrole wewnętrzne w obszarze strefy Schengen w obawie o to, że inne państwo nie kontroluje granicy w odpowiedni sposób. Na przykład Francja, która też krytycznie odnosiła się do sytuacji w Hiszpanii, ma z nią przywrócone kontrole graniczne na granicy lądowej. Natomiast Włochy wprowadziły je na granicach lotniczych i morskich, co był działaniem stricte pod publiczkę.

We Włoszech jest to ewidentnie skrojone na potrzeby działań wyborczych. Premier Giorgia Meloni jest w specyficznej sytuacji. Doświadczyła przypadków instrumentalizacji migracji przez Libię, więc można by się po niej spodziewać większej solidarności z Hiszpanią, ale z drugiej strony nie zapominajmy, że jest przedstawicielką partii skrajnie prawicowej. Potrzeby bieżącej polityki zwyciężyły nad logiką i myśleniem długoterminowym o interesie państwa frontowego jako takiego. Warto przypomnieć – bo pojawiały się doniesienia o wyrzuceniu Hiszpanii ze strefy Schengen – że nie ma takiej prawnej możliwości. Można jedynie przywrócić kontrole graniczne z danym państwem na określony czas. Ten mechanizm jest stosowany w odniesieniu do wielu państw i nie wydaje się mieć jakiejś ogromnej mocy przesądzającej o istnieniu, tudzież nieistnieniu strefy Schengen.

Na granicach polskich czy litewskich kontrole też były przywracane.

Jest to działanie, które bardzo często się powtarza. Polska była w sytuacji eskalacji na granicy polsko-białoruskiej, kiedy Niemcy podjęły decyzję o przywróceniu kontroli. Takie przypadki braku solidarności się pojawiają. Wydaje się, że jest to odpowiedź na pilną potrzebę zaspokojenia swoich potencjalnych wyborców, stworzenia poczucia, że mamy opanowaną sytuację poprzez najszybszą możliwa reakcję, jaką jest przywrócenie kontroli granicznych. Taka reakcja jednak nie powinna się powtarzać, zwłaszcza że wpisuje się w ten cel, który stawiają sobie autorytarne reżimy, decydujące się instrumentalizować migrację w kierunku Europy. Powinniśmy się powstrzymywać przed takimi jednostronnymi działaniami.

Czy wydarzenia w Ceucie możemy przyrównać do zagrożeń migracyjnych, z jakimi Polska i Litwa mierzą się ze strony Białorusi?

Jeżeli chodzi o granicę wschodnią Unii Europejskiej, to wiemy, że ona jest obiektem systemowej wojny hybrydowej i działań nie tylko w obszarze instrumentalizacji migracji. Jest to potwierdzone i udokumentowane. Natomiast sytuacja w Ceucie ma charakter incydentalny. Musimy ją wyjaśnić i wtedy będziemy mogli mówić, czy mamy możliwość porównywania tych zjawisk, czy też nie.

Fakt szybkiego odesłania przez służby migrantów, którzy zalali Ceutę, to jakiś powód do optymizmu?

Z punktu widzenia interesu całej Unii Europejskiej ta szybka reakcja w kwestii powrotu ma znaczenie, bo pokazuje skuteczność służb, w związku z czym może odstraszać czy też zniechęcać do podejmowania takich prób. Nasuwa się jednak wiele pytań o kwestie humanitarne. Doszło do przypadków śmiertelnych, wiele osób zginęło w trakcie przeprawy do Ceuty.

W chwili naszej rozmowy ostatnie doniesienia mówią o 88 ofiarach, więc jest to też duży kryzys humanitarny w skali tej przecież małej, 85-tysięcznej miejscowości. Nie zapominajmy o tym.

Co przyniosła nadzwyczajna wideokonferencja ministrów spraw wewnętrznych krajów UE z 4 sierpnia, o której wspomniała Pani na początku naszej rozmowy?

W trakcie konferencji ministrowie spraw wewnętrznych państw członkowskich wyrazili solidarność z Hiszpanią i uznanie, że jej władzom udało się opanować kryzys w tak szybkim czasie. Potwierdzili determinację w walce z przemytnikami ludzi. Zwrócili też uwagę na kwestię komunikacji incydentów tego typu w przyszłości, przestrzegając przed zaangażowaniem zewnętrznych aktorów w dezinformacje na temat migracji. ■

eprasa.pl 46502a485c

Śladami hrabiów Tyszkiewiczów: wyjątkowe muzeum i park w sercu Kretyngi

Justyna **Giedrojć**

Latem największą atrakcją turystyczną w Kretyndze jest muzeum mieszczące się w dawnym pałacu hrabiów Tyszkiewiczów. Zabytkowa rezydencja przyciąga licznych zwiedzających nie tylko swoją interesującą historią, ale także bogatą ekspozycją muzealną.

Kretynga i jej okolice od dawna słyną z bogactwa zabytków archeologicznych, cennych obiektów etnograficznych, tradycji oraz obyczajów sięgających głębokiej przeszłości **Fot. Adobe Stock**

Wśród eksponatów można zobaczyć cenne dzieła sztuki, zabytkowe meble, przedmioty codziennego użytku oraz pamiątki związane z rodem Tyszkiewiczów i historią regionu. Dodatkową atrakcją jest otaczający pałac park z oranżerią i ogrodem zimowym, które sprawiają, że miejsce to cieszy się dużym zainteresowaniem zarówno wśród turystów z Litwy, jak i z zagranicy.

Dziedzictwo kulturowe rodziny Tyszkiewiczów

Kretynga i jej okolice od dawna słyną z bogactwa zabytków archeologicznych, cennych obiektów etnograficznych, tradycji oraz obyczajów sięgających głębokiej przeszłości.

Badacze oraz miłośnicy historii zaczęli interesować się dziedzictwem kulturowym Kretyngi już w XIX w. Z powodu braku lokalnego muzeum gromadzone eksponaty trafiały do muzeów w: Petersburgu, Królewcu, Berlinie, Wilnie, Tartu, Lipawie, Kownie i innych miastach.

Pomysł utworzenia muzeum zrodził się w 1935 r., wtedy w dwóch niewielkich pomieszczeniach budynku urzędu miejskiego utworzono pierwszą ekspozycję. W czasie II wojny światowej muzeum zostało zamknięte, lecz nie pozostawiono go bez opieki. W 1977 r. ekspozycję przeniesiono do odrestaurowanych pomieszczeń klasztoru franciszkanów.

Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości klasztor zwrócono franciszkanom, a Muzeum Kretyngi postanowiono przenieść do Pałacu Tyszkiewiczów. W 1992 r. rozpoczął się nowy etap jego rozwoju muzeum. Od 2009 r. w ramach realizacji projektu unijnego zainicjowano liczne inicjatywy mające na celu restaurację budynków dworskich oraz dostosowanie do funkcji muzealnych i turystycznych.

W ekspozycji poświęconej historii i kulturze dworu w porządku chronologicznym przedstawiono eksponaty opowiadające o właścicielach majątku Kretyngi oraz o ich najważniejszych dokonaniach dla miasta. Największy ślad w historii regionu pozostawił słynny litewski dowódca »

eprasa.pl 46502a485c

wojskowy, wojewoda wileński Jan Karol Chodkiewicz, który na początku XVII w. założył miasto Kretynga oraz ufundował klasztor i kościół franciszkanów.

Najbardziej imponującym eksponatem jest obraz „Bitwa pod Kircholmem", namalowany ok. 1620 r. przez Pietera Snayersa, upamiętniający zwycięstwo Jana Karola Chodkiewicza nad królem Szwecji Karolem IX w 1605 r. Oryginał dzieła znajduje się w zamku Château de Sassenage we Francji.

Hrabia Józef Tyszkiewicz założył w 1875 r. w Kretyndze rodzinną rezydencję z parkiem oraz największym w Europie prywatnym ogrodem zimowym. W 1878 r. uruchomił pierwszą na Litwie elektrownię wodną, a w 1882 r. wspólnie z księciem Bogdanem Ogińskim uruchomił pierwszą na Litwie linię telefoniczną na trasie Kretynga–Płungiany–Retów.

Historię rodziny Tyszkiewiczów przedstawiają portrety, fotografie, dokumenty osobiste i listy, natomiast o ich dziedzictwie kulturowym przypominają meble z jadalni ozdobione rodowym herbem Leliwa, a także zdobiące niegdyś pałac wazony, rzeźby i obrazy.

Dzieła sztuki powróciły do pałacu

Obecnie w Muzeum w Kretyndze czynna jest wystawa „Nierozpoznana kolekcja sztuki hrabiów Tyszkiewiczów", przygotowaną we współpracy z Narodowym Muzeum Sztuki im. M.K. Čiurlionisa.

– Historia nie oszczędzała rodu Tyszkiewiczów, a jednym z największych ciosów była okupacja sowiecka, która doprowadziła do niszczenia tworzonych przez hrabiów majątków i ich zbiorów. Już w 1940 r. z pałacu Feliksa i Antoniny Tyszkiewiczów w Połądze skonfiskowano wszystkie znajdujące się tam dzieła sztuki. Nie wiadomo dokładnie, ile ich było. Na podstawie nielicznych zachowanych dokumentów udało się ustalić, że część kolekcji trafiła do obecnego Narodowego Muzeum Sztuki im. M.K. Čiurlionisa, część do Muzeum w Kretyndze, a część prawdopodobnie zaginęła bez śladu. Na wystawie zaprezentowano blisko 40 obrazów, które muzealnikom i historykom sztuki udało się zidentyfikować jako część dawnej kolekcji hrabiów Tyszkiewiczów – opowiada w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" litewski krajoznawca Romualdas Beniušis.

Obecnie w Muzeum w Kretyndze czynna jest wystawa „Nierozpoznana kolekcja sztuki hrabiów Tyszkiewiczów", przygotowaną we współpracy z Narodowym Muzeum Sztuki im. M.K. Čiurlionisa. Na wystawie zaprezentowano blisko 40 obrazów, które muzealnikom i historykom sztuki udało się zidentyfikować jako część dawnej kolekcji hrabiów Tyszkiewiczów.

Największa prywatna oranżeria w Europie

W 1875 r. hr. Józef Tyszkiewicz przebudował pałac i dobudował oranżerię, w której założył ogród zimowy. Rosły w nim: palmy wachlarzowe, bananowce, kaktusy, drzewa pomarańczowe, cytrynowce oraz ogromna araukaria. Ściany ozdobione koralowcami porastały pnącza. Po skałach spływał wodospad, którego woda zasilała niewielkie stawy. Pływały w nich ozdobne ryby, a z jednego z nich tryskała wysoka fontanna.

W 1912 r. hr. Aleksander Tyszkiewicz przebudował oranżerię, zmniejszając jej powierzchnię. Po modernizacji posadzono nowe, rzadkie gatunki roślin, które były starannie pielęgnowane.

Ogród zimowy stanowił integralną część wnętrz pałacowych, łącząc reprezentacyjne sale z apartamentami hrabiowskimi. Była to największa oranżeria znajdująca się w prywatnej rezydencji w ówczesnej Europie.

Niestety, to wyjątkowe miejsce nie uniknęło zniszczeń. W 1915 r. ogród zimowy ucierpiał w wyniku pożaru, a w 1940 r. stacjonujący w pałacu żołnierze Armii Czerwonej zniszczyli wszystkie rośliny. W okresie powojennym pomieszczenia ogrodu wykorzystywano jako stajnie, magazyn, szkolną salę gimnastyczną oraz szklarnię.

W 1987 r. zakończono prace związane z odnowieniem ogrodu zimowego. Dziś zwiedzający mogą oglądać rośliny z różnych stron świata. Choć często są niewielkie, pokazują piękno tropikalnych lasów Indii, Indonezji i Brazylii oraz pustynnych terenów Afryki i Meksyku.

Obiekty dawnego majątku Kretyngi

Na terenie zespołu pałacowo-parkowego Muzeum Kretyngi znajduje się młyn wodny zbudowany w latach 1770–1771, gdy właścicielem majątku Kretyngi był biskup wileński Ignacy Massalski. Hrabia Józef Tyszkiewicz przebudował młyn, a w 1878 r. uruchomił w nim pierwszą na Litwie elektrownię wodną oraz warsztaty stolarskie. W okresie międzywojennym działały tu należąca do Tyszkiewiczów tłocznia oleju „Oelit", wytwórnia słodyczy oraz wytwórnia miodu i syropów „Šatrija".

Kolejnym interesującym obiektem jest dom zarządcy majątku zbudowany w XVIII w. Przeznaczony był dla personelu wyższej rangi. W 1838 r. przebudowany budynek przystosowano na tymczasową rezydencję właścicieli majątku. Urządzono w nim niewielką, bogato zdobioną salę z malowidłami ściennymi wykonanymi na wzór dekoracji europejskich wnętrz końca XVIII i pierwszej połowy XIX w., szczególnie popularnych w Anglii. Dzięki środkom z funduszy strukturalnych Unii Europejskiej budynek w 2015 r. został odrestaurowany.

Dla zwiedzających udostępniona jest także kaplica, którą w 1893 r. wybudował hr. Aleksander Tyszkiewicz. Pierwszą osobą pochowaną w krypcie kaplicy był hrabia Józef Tyszkiewicz. W późniejszych latach pochowano tam wielu przedstawicieli rodu Tyszkiewiczów. W 1997 r. kaplica-mauzoleum została uznana za chroniony przez państwo zabytek kultury.

***

W artykule wykorzystane materiały Muzeum Kretyngi.

eprasa.pl 46502a485c

Fotografia Pauliny Miadziołki z 1921 r.
Fot. Biblioteka Narodowa Białorusi, domena publiczna

„Prawa zdobywa ten, kto posiada siłę". Paulina Miadziołka i białoruski ruch narodowy w XX w.

Antoni **Radczenko**

Białoruska działaczka polityczna i społeczna z początku XX w., Paulina Miadziołka, jest jedną z nielicznych, którym udało się umknąć z Wielkiego Terroru lat 1937–1938. Jej losy były fascynujące. Rewolucjonistka, działaczka narodowa, pedagożka. Przyjaciółka poety Janki Kupały. Pracownica sowieckiej ambasady w Berlinie. Białoruska femme fatale, porównywana do słynnej Maty Hari.

„Cela jednoosobowa jest ciemna i wąska jak grób. Brudne ściany, chyba nigdy nie bielone, pokrywają plamy pleśni. Głęboko w murze, wyżej niż wzrost człowieka, znajduje się małe okienko z żelaznymi kratami, przez które z trudem przedostaje się światło dzienne. Na wąskim żelaznym łóżku leży siennik z papierowego workowego płótna, przetłuszczony od brudu i tak cienki, że wyraźnie odznaczają się pod nim żelazne pręty. Z tego samego materiału wykonana jest brudna, płaska słomiana poduszka. Nie ma ani prześcieradła, ani poszewki" – tak pod koniec życia pobyt w polskim więzieniu w latach 20. XX w. wspominała Paulina Miadziołka.

Wilno, Petersburg, Grodno

Paulina Wincentauna Miadziołka urodziła się 12 września 1893 r. w Budsławiu. Od 1909 r. przebywała w Wilnie. Po zdaniu matury przeniosła się do Petersburga, gdzie poznała klasyka białoruskiej literatury, Jankę Kupałę. Zagrała główną rolę w jego sztuce „Paulinka". Tu zaczęła obracać się wśród białoruskich działaczy. W 1916 r. pracowała w Białoruskim Komitecie Pomocy Ofiarom Wojny.

Po przewrocie bolszewickim jesienią 1917 r. Miadziołka przeniosła się do Kijowa, a później do Mińska. Była powiązana z partią Białoruska Socjalistyczna Hromada. W Grodnie stała na czele młodzieżówki partyjnej. Nawiązała współpracę z pismem „Rodnyj Kraj", który wydawał jej przyszły mąż, Tamasz Hryb.

„W Grodnie wychodziła wówczas białoruska gazeta »Rodny Kraj«, z którą nawiązałam współpracę. Włączono mnie do pracy redakcji. Pewnego razu zdarzyło się, że redaktor musiał wyjechać służbowo do Wilna. Poprosił mnie i jeszcze jednego kolegę, abyśmy przeczytali korektę i rozesłali gazetę. W artykule wstępnym tego numeru, zatytułowanym »Prawem czy mieczem?«, napisano, że my, Białorusini, podobnie jak inne narody, mamy prawo przynajmniej do własnego języka ojczystego, literatury, szkół narodowych oraz własnych spółdzielni. Jednak, jak się okazuje, prawa zdobywa ten, kto posiada siłę" – wspominała później Miadziołka.

20 lipca 1919 r. Miadziołka została aresztowana po raz pierwszy przez władze polskie. Drugi raz trafi do polskiego więzienia w maju 1920 r., kiedy rozpocznie się sowiecki atak na Polskę.

– To była bardzo krótko funkcjonująca gazeta. Ogółem chyba wydano tylko sześć numerów między czerw- »

eprasa.pl 46502a485c

cem a lipcem 1919 r. Redaktorem naczelnym był przyszły mąż Miadziołki, Tamasz Hryb. Generalnie to było pismo, które trzymało się linii białoruskich eserów [Białoruskiej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów – przyp. red.]. Białoruscy eserzy raczej poddawali wątpliwości przynależność terytorialną ziem białoruskich do Rzeczypospolitej. Właśnie tutaj szukałbym przyczyn zamknięcia gazety oraz aresztu redaktora naczelnego oraz jego partnerki, która była aktywną dziennikarką – ocenia w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" historyk dr Tomasz Błaszczak z Uniwersytetu Witolda Wielkiego.

W 1921 r. Paulina Miadziołka kursuje pomiędzy Kownem a Berlinem, gdzie pracuje w sowieckim poselstwie. To nie jest przypadek. Na początku lat 20. oba miasta odgrywały ważną rolę w białoruskim życiu politycznym. Do Kowna udaje się na wygnanie rząd Białoruskiej Republiki Ludowej.

Między Kownem a Berlinem

W 1921 r. Miadziołka kursuje pomiędzy Kownem a Berlinem, gdzie pracuje w sowieckim poselstwie. To nie jest przypadek. Na początku lat 20., jak tłumaczy dr Błaszczak, oba miasta odgrywały ważną rolę w białoruskim życiu politycznym. Do Kowna udaje się na wygnanie rząd Białoruskiej Republiki Ludowej, na czele z Wacłauem Łastouskim.

Jeszcze w 1918 r. przy rządzie litewskim powstaje Ministerstwo Spraw Białoruskich Litwy, mające na celu włączenie przedstawicieli społeczności białoruskiej do procesu budowy państwa litewskiego oraz zapewnienie sobie ich poparcia w negocjacjach dotyczących granic państwa.

W Kownie zaczęła się ukazywać gazeta „Selianskaja Dola", która miała szerzyć idee politewskie wśród białoruskich włościan. W Berlinie natomiast aktywnie działała misja Białoruskiej Republiki Ludowej. W tym mieście aktywnie działało też przedstawicielstwo Rosji Sowieckiej. Do sowieckiego poselstwa Miadziołka trafiła dzięki pomocy Zmiciera Żyłunowicza. Żyłunowicz to białoruski pisarz, poeta, premier Białoruskiej Republiki Ludowej, który już w 1920 r. postawił na bolszewików.

– Sądzę, że dzisiaj jest niemożliwe dokładne ustalenie, gdzie i kiedy w ówczesnym okresie przebywała i się poruszała. Większość dokumentów, które pomogłyby w ustaleniu, jest niedostępna albo ich nigdy nie było – wyjaśnia dr Błaszczak.

Szkoła na Łotwie

Po Kownie i Berlinie Miadziołka trafiła na Łotwę, dokąd ją sprowadził kolejny białoruski działacz, Iwan Kraskouski. Otrzymał on misję otwarcia w Dźwińsku białoruskiej szkoły średniej. Miadziołka pracowała jako nauczycielka.

Nie zatrzymuje się na dłużej na Łotwie, ponieważ w 1924 r. została deportowana do sowieckiej Białorusi. – Kwestia deportacji jest różnie interpretowana. W pewnym momencie Łotysze zaczęli ograniczać możliwość pracy osobom niemającym obywatelstwa. To właśnie była główna przyczyna wyjazdu Miadziołki do Mińska. W Mińsku po roku 1922 zaczyna się powoli polityka białorutenizacji (korienizacji). Miasto chce się stać centrum ruchu białoruskiego, oczywiście w zideologizowanej, prosowieckiej formie. Dla osób pokroju Miadziołki to nie było przeszkodą, ponieważ kilka lat później na sowiecką Białoruś uda się Iwan Kraskouski. Dla nich Mińsk jest miastem, gdzie można tworzyć białoruską kulturę. Wiadomo, ta iluzja szybko prysnęła, ponieważ praktycznie wszystkie osoby zaangażowane w sprawy Białoruskiej Republiki Ludowej w latach 30. zostały poddane represjom – mówi „Kurierowi Wileńskiemu" dr Błaszczak.

Ścieżkami życia

Względnie spokojne życie Paulina Miadziołka wiedzie do 1930 r., kiedy została aresztowana i zesłana do Kazania. Po kilku latach wysłano ją do Moskwy, gdzie nauczała języka rosyjskiego.

Od lat 30. nasilały się jej problemy psychiczne. Kilkakrotnie była hospitalizowana w szpitalach psychiatrycznych. Niektórzy badacze twierdzą, że właśnie dzięki diagnozie psychiatrycznej nie padła ofiarą Wielkiego Terroru, w odróżnieniu od jej kolegów z białoruskiego ruchu narodowego.

Wacłau Łastouski został rozstrzelany 23 stycznia 1938 r. w Saratowie. Zmicier Żyłunowicz został aresztowany w 1936 r. 11 kwietnia 1937 r. zmarł w szpitalu psychiatrycznym w Mohelowie. Część badaczy twierdzi, że popełnił samobójstwo.

– Nie można powiedzieć, że jej udało się uniknąć represji. W 1930 r. została aresztowana i zesłana do Kazania. Stamtąd wyjechała do Moskwy, gdzie uczyła języka rosyjskiego. Niemniej, faktycznie udało się jej przeżyć Wielki Terror z lat 1937–1938.

Jest kilka przykładów innych działaczy białoruskich, którym również udało się przeżyć terror. Nie znam szczegółowo jej biografii z lat 30. i późniejszych. Nie można wykluczyć, że podjęła się jakieś formy współpracy z Sowietami – zastanawia się dr Tomasz Błaszczak.

Wspomnienia Madziołki

W Moskwie Miadziołka przebywała do 1947 r., potem przeniosła się do rodzimego Budsławia, gdzie pracowała jako nauczycielka. Tam napisała swoje wspomnienia pt. „Ścieżkami życia". Po raz pierwszy książka została wydana w 1974 r. Ta wersja została mocno okrojona przez cenzurę. Wersja bez cenzury ukazała się w 1993 r. Paulina Wincentauna Miadziołka zmarła 13 lutego 1974 r.

eprasa.pl 46502a485c

Wszystko, co polskie szkoły na Litwie muszą wiedzieć o zakazie telefonów w Polsce. Wkrótce u nas?

Apolinary **Klonowski**

Polska zakazała telefonów w szkołach do 15. roku życia. Pytamy, czy taki zakaz na Litwie również byłby korzystny. Najpierw jednak przyjrzyjmy się, co dokładnie zmienia nowe prawo w Polsce i jak to się ma do zasad, z których już korzystają szkoły na Wileńszczyźnie.

Bezpieczeństwo i prawa dzieci na Litwie zawsze były tematem wrażliwym (na zdjęciu: Konstytucja Dziecka). Powoli zaczyna się dyskusja o telefonach i wynikających z nich zagrożeniach **Fot. Apolinary Klonowski**

Od 1 września tego roku uczniowie szkół podstawowych i przedszkoli w Polsce, czyli do 14. lub 15. roku życia (w zależności od rocznika), nie będą mogli korzystać z telefonów komórkowych. Dotyczy to też innych urządzeń, za pomocą których można się komunikować czy nagrywać dźwięk i obraz. Zakaz dotyczy także przerw i wszelkich zajęć szkolnych, także w miejscach poza szkołą.

Będą wyjątki, ale nieliczne

Będzie kilka wyjątków. Nauczyciel będzie mógł pozwolić na telefon, jeśli będzie potrzebny w czasie lekcji. Można będzie korzystać z telefonu także dla pilnego kontaktu z rodzicami lub w razie zagrożenia. Dyrektorzy mogą także pozwolić na jego zachowanie dzieciom z niepełnosprawnościami – gdyż na urządzeniach można instalować aplikacje związane ze zdrowiem.

Każda szkoła będzie musiała wygospodarować specjalne miejsce na przechowywanie telefonów. Oczywiście będą musiały spełnić różne wymogi bezpieczeństwa i chronić prywatność.

Przepisy nie obejmą szkół ponadpodstawowych – liceów, techników czy szkół dla dorosłych, czyli placówek, do których uczęszczają osoby po 15. roku życia. To nie oznacza całkowitej swobody. Każda szkoła w Polsce będzie musiała określić zasady korzystania z telefonów w statutach. Na dostosowanie dokumentów wszystkie szkoły będą miały czas do 31 grudnia 2026 r. Zakaz nie będzie też obowiązywał podczas wycieczek szkolnych ani w internatach.

Ustawa uzyskała szerokie poparcie polityczne – głosowali za nią przedstawiciele wszystkich ugrupowań w parla- »

eprasa.pl 46502a485c

mencie. Z badania Centrum Badania Opinii Społecznej, przeprowadzonego w kwietniu br. wynika, że 85 proc. Polaków popiera zakaz używania smartfonów w szkołach podstawowych.

Na Litwie są „rekomendacje"

Na Litwie zakazu nie ma, ale są „rekomendacje". Choć szkoły krytykują je, podkreślając, że powodują one konflikty z rodzicami – zakazać szkoła może, ale nie musi. Jednak jak zakaże, rodzice są niezadowoleni, a szkoła nie ma argumentu, bo to tylko „rekomendacja".

Jak jest w polskich szkołach na Litwie? Różnie. Na przykład w Gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego w Nowej Wilejce, Gimnazjum im. św. Rafała Kalinowskiego w Niemieżu oraz Gimnazjum w Awiżeniach obowiązuje model „pudełkowy": uczniowie odkładają telefony do specjalnych pojemników na czas lekcji, a odbierają je po dzwonku, na przerwach mogą z nich swobodnie korzystać.

Niektóre szkoły podchodzą do sprawy „ostrzej", np. Szkoła w Leszczyniakach (Lazdynai), gdzie telefony są wyciszane i chowane do szafki lub plecaka na cały pobyt w szkole, również podczas przerw.

Niektóre szkoły, np. Gimnazjum im. św. Jana Pawła II w Wilnie, wykazują bardziej liberalne podejście – telefony nie są konfiskowane, a system opiera się na zaufaniu do dojrzałości uczniów – ale oczekuje się od ucznia, że nie będzie korzystał z telefonu podczas lekcji. Jeśli uczeń nie dostosuje się, telefon może być odebrany i przekazany rodzicom.

O co chodzi z tymi telefonami?

Jaki jest problem z telefonami? Uzależniają, otępiają, a co gorsza, nie są tak „widocznym" problemem, jak alkohol czy papierosy. Efekty widać dopiero po czasie i niestety trudno je odwrócić, szczególnie u osoby, która przez duży czas swojego umysłowego rozwoju była od telefonu uzależniona.

Naukowe podstawy dla takich regulacji, jakie wprowadziła Polska, dostarcza badanie opublikowane w piśmie „Behavioral Sciences" przez naukowców z University of California w Los Angeles. Wykazali oni, że dzieci posiadające telefon komórkowy osiągają gorsze wyniki w czytaniu ze zrozumieniem niż ich rówieśnicy bez smartfonów – i to niezależnie od tego, czy przyniosą urządzenie do szkoły, czy nie.

„Odkryliśmy, że nie ma wieku, w którym można dać dziecku telefon bez wpływu na rozumienie tekstu – chodzi po prostu o jego posiadanie" – powiedziała prof. Patricia Greenfield, główna autorka badania.

Nie wszyscy są jednak przekonani, że sama ustawa, którą wprowadził polski parlament, wystarczy. Dr Maciej Dębski, socjolog i ekspert ds. higieny cyfrowej, ocenia ją krytycznie. „To źle skonstruowane prawo. Wprowadza zakazy, ale nie daje szkołom narzędzi. Dyrektorzy i nauczyciele zostaną z tym sami" – powiedział Dębski, który jako założyciel Fundacji „Dbam o Mój Zasięg" od lat uczy szkoły i rodziców w zakresie odpowiedzialnego korzystania z technologii.

Wskazuje, że największe natężenie używania telefonów przez dzieci przypada nie na czas lekcji, lecz na godziny popołudniowe – po powrocie do domu. Prawdziwym zagrożeniem są zaś same platformy społecznościowe, które nazywa „mediami antyspołecznościowymi". „Miały ludzi łączyć, a coraz częściej polaryzują, radykalizują, zabierają czas na relacje i pogarszają zdrowie psychiczne dzieci oraz młodzieży" – zaznacza ekspert.

Wyłania się z tego obraz, że problemem są media społecznościowe i telefony w rękach młodzieży w ogóle, a nie tylko w szkole. Jednak Polska już podjęła pierwszy krok i może dyskutować nad kolejnymi rozwiązaniami. Choć nie tak radykalnie, jak np. Australia, która zakazała socmediów dla dzieci poniżej 16. roku życia.

> Od 1 września tego roku uczniowie szkół podstawowych i przedszkoli w Polsce, czyli do 14. lub 15. roku życia (w zależności od rocznika), nie będą mogli korzystać z telefonów komórkowych. Dotyczy to też innych urządzeń, za pomocą których można się komunikować czy nagrywać dźwięk i obraz.

Czy zakaz jak w Polsce uratowałby dzieci na Litwie? Chrystyna Masalska: „Są cztery grupy dzieci"

O to, jak wygląda zakaz telefonów w szkołach w Polsce z litewskiej perspektywy, pytamy Chrystynę Masalską, nauczyciel ekspert historii w Gimnazjum im. św. Rafała Kalinowskiego w Niemiezu, współzałożycielkę Polskiej Szkoły Wirtualnej na Litwie. Inicjatywa ta integrowała uczniów w czasie pandemii covid-19 dzięki wykorzystaniu technologii cyfrowych.

Apolinary Klonowski: Jak ten zakaz telefonów, który wprowadziła Polska, wygląda z perspektywy polskich szkół na Litwie?

Chrystyna Masalska: To niełatwe pytanie, bo u nas też staramy się trzymać podobnych zasad, choć nieformalnie i szkołom jest dana duża swoboda. Jeśli mówimy o zakazie, to już teraz widzę wśród uczniów cztery grupy.

Pierwsza grupa to dzieci, które w ogóle nie mają z tym problemu. Telefon widać u nich rzadko i krótko – sprawdzą, czy mama nie napisała, i odkładają. Jeśli trzeba na początku lekcji oddać telefon do pudełka, oddają bez słowa sprzeciwu.

Druga grupa też oddaje telefony, ale korzysta z każdej okazji, gdy nauczyciel zapomni – a przy natłoku obowiązków to się zdarza. Na przerwach są w telefonie bez przerwy, często na dwóch ekranach naraz. Żadna uwaga nie robi wrażenia. Nie odpoczywają, a potem trudno im się skupić na lekcji.

Trzecia grupa to klasyczne urwisy – biegają, przeszkadzają, ale są żywe, działają, wyładowują emocje. Każdy psycholog powie, że to normalny etap rozwoju. Oczywiście taki urwis bywa problemem, bo nie daj Boże coś się stanie – ale on nie siedzi na miejscu, takie »

eprasa.pl 46502a485c

dziecko jest aktywne. Dopiero gdy się wybiega i zrobi mu się nudno na lekcji, sięga po telefon, jeśli nie został odłożony do pudełka. Czwarta grupa to najtrudniejszy przypadek – dzieci, którym w ogóle nie zależy na nauce. Szkoła to dla nich po prostu miejsce, gdzie trzeba spędzić czas i nic ich nie przekona ani nie zastraszy. Przy wprowadzeniu zakazu pierwsza grupa zrozumie, o co chodzi. Z resztą będzie problem.

W czym jest zatem problem, w braku odgórnego zakazu?
Niestety, problem często bywa w rodzinach i ich priorytetach. Jeśli dziecko ma dobrą relację z rodzicami, od małego tłumaczy się mu, co dobre, a co złe – to nauczyciel potem takie dziecko tylko prowadzi, ale nie musi z nim walczyć. Rodzice często obwiniają nauczyciela, że nie potrafił zaciekawić. Co to znaczy? Dziecko musi rozumieć, że nauka to poważna sprawa, a nie zabawa i skakanie wokół niego. Widzę pewną zasadę. Tam, gdzie relacja z rodzicami jest dobra – niezależnie od zamożności rodziny – problemów nie ma. Tam, gdzie w domu coś szwankuje, mamy kłopoty: po pierwsze, nauczyciel przestaje być autorytetem. W ogóle znikają jakiekolwiek autorytety. Po drugie, dzieci mają bardzo drogie telefony, z najwyższej półki. A jeśli któryś spadnie albo zginie? Odpowiedzialność łatwo spada wtedy na nauczyciela. To w dużej mierze zależy od rodziców – nauczyciel mówi, że tak ma być, a rodzic w domu mówi co innego: „Nic się nie stało, trzymaj w kieszeni, nie mów".

W Danii dyskutuje się o zakazie smartfonów do 15. roku życia w ogóle, z obowiązkowymi karami – jak za podanie dziecku papierosa. Kiedyś normalne było usypianie dzieci alkoholem, żeby mniej płakały, dopóki nie zaczęło w to ingerować państwo...
Zakazywać można wiele, władza może dużo deklarować – ale jak to wyegzekwować, skoro w rodzinach i na ulicy widać zupełnie inny obrazek? Rodzic pcha wózek jedną ręką, w drugiej trzyma telefon.
Relacji nie ma – nikt nie mówi dziecku: „zobacz, jakie drzewo", „to jest roślinka", „to jest samochód". Dziecko nie mówi, ale słyszy, ale rodzic nie chce do niego mówić. Druga sprawa: rodzice idą, rozmawiają, a dziecku w wózku dają telefon.
Od maleństwa uczy się, aby wzięło telefon do ręki i nie przeszkadzało. Zamiast tłumaczyć i budować dialog, dają telefon, żeby dziecko było ciche.
Skoro od niemowlęctwa ma telefon w ręku, czy tacy rodzice później dadzą radę mu go zabronić? Wątpię.

Jak dowiadujemy się od Chrystyny Masalskiej, nauczycielki ekspert historii, w przypadku takiego zakazu trzeba też dać alternatywę **Fot. Apolinary Klonowski**

> Chrystyna Masalska: Zakazywać można wiele, władza może dużo deklarować – ale jak to wyegzekwować, skoro w rodzinach i na ulicy widać zupełnie inny obrazek? Rodzic pcha wózek jedną ręką, w drugiej trzyma telefon. Relacji nie ma – nikt nie mówi dziecku: „zobacz, jakie drzewo", „to jest roślinka", „to jest samochód".

Warto też zwrócić uwagę, że dzieci owszem oddają telefony na lekcji – ale mają ich już dwa, a nawet trzy. I to dziecko idzie z nim do toalety, dotyczy to zarówno chłopców, jak i dziewczyn.

Telefony jak kiedyś papierosy. Czy to świadczy o naprawdę dobrej sytuacji materialnej rodzin w polskich szkołach na Litwie?
Niewygodne, ale dobre pytanie – ale część dzieci oddaje po prostu atrapy, stare, zepsute telefony, których w domu się nazbierało. Kombinują. Zakaz sam w sobie jako pedagog niewiele daje, bo dzisiejsze dzieci są zupełnie inne niż my. Kiedy moje pokolenie chorowało, leżało się godzinami w łóżku i wpatrywało w wzór na kilimie. Największą karą było dla nas zakaz wyjścia na podwórko – wtedy w domu kombinowaliśmy: graliśmy w statki, w kółko i krzyżyk. Mieliśmy rozwiniętą wyobraźnię. Dziś od małego tę wyobraźnię się zabija. Dziecko przy zakazie nie wie, co ze sobą zrobić, nie widzi dla siebie żadnej alternatywy.

Czyli dać alternatywę?
Jeśli czegoś zabraniamy, musimy dać coś w zamian. Puste miejsce nie zostaje puste – dziecko, od którego coś odebrano, może pójść w gorszą stronę: ze złością, z niechęcią, czasem po prostu się gdzieś zawieruszy. »

eprasa.pl 46502a485c

Co więc może zastąpić telefon?
Dobrym rozwiązaniem byłoby danie dzieciom na przerwie możliwości, żeby gdzieś podziały energię. Niektóre szkoły już sobie z tym radzą – kupują stoły do gry w szachy, w futbol stołowy, stawiają ping-pong na korytarzu. Jeśli dzieci dostaną inne opcje spędzania czasu, to jest wyjście.
Podoba mi się na przykład pomysł z Azji – przerwy taneczne. U nas mogłoby to zadziałać podobnie: jedna Belgijka wprowadziłaby taką przerwę taneczną w swojej szkole, dzieci zaczęły tańczyć i z czasem, choćby raz w tygodniu, dołączałoby ich coraz więcej.
Zakazy działają, jeśli wprowadza się je od najmłodszych. Jeśli zaczniemy dopiero z ósmą czy dziewiątą klasą i po prostu coś im zabierzemy, nic nie dając w zamian, dla nastolatka to prawdziwa tragedia, zwłaszcza psychologicznie.
Szkoły muszą same szukać takich rozwiązań.
Władza zawsze deklaruje, że robi to dla naszego dobra, ale nie proponuje konkretów i nie daje finansowania na to, jak to wprowadzić.

Czyli popiera Pani zakaz, który wprowadziła Polska?
Jestem za takim zakazem, bo telefony zabijają mózgi naszych dzieci – ich mózgi tępieją na naszych oczach. Ale dzieci muszą dostać alternatywę. Gdyby państwo ją pokazało, może same by po telefon nie sięgały – bo trzeba zagrać z kolegą, bo dziewczynki pójdą potańczyć, bo zaczną żyć innymi emocjami. Kiedy dziecko ma inne możliwości, telefon staje się niepotrzebny.
W tym roku byłam na obozie, gdzie telefony zabierano na cały dzień i oddawano tylko po obiedzie, na godzinę. Dzieci przez cały dzień były zajęte, więc nie było nawet czasu, żeby usiąść z telefonem: pobudka, prysznic, śniadanie, sprzątanie pokoi, obiad, potem godzina na telefon, później zajęcia sportowe.
Jeśli w szkole zapełnimy dzieciom czas czymś innym, myślę, że problemu by nie było.

Jak jest w polskich szkołach na Litwie? Różnie. Na przykład w Gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego w Nowej Wilejce, Gimnazjum im. św. Rafała Kalinowskiego w Niemieżu oraz Gimnazjum w Awiżeniach obowiązuje model „pudełkowy". Niektóre szkoły podchodzą do sprawy „ostrzej", np. Szkoła w Leszczyniakach (Lazdynai), gdzie telefony są wyciszane i chowane do szafki.

Chcę jeszcze podkreślić, że rola rodziców i relacje rodzinne mają największe znaczenie. Dziecko dobrze wychowane, które przychodzi do szkoły, nie będzie wybiegać w czasie lekcji, bić się, kłócić – bo wie, co wolno, a czego nie, nie ma w sobie złości i niewyjaśnionych emocji. Ale jeśli w domu wolno wszystko, to jak potem czegoś dziecku zabronić? Stąd konflikty – zwłaszcza kiedy sam rodzic staje po stronie dziecka przeciwko nauczycielowi, twierdząc, że to nauczyciel ma problem, a nie jego „święte" dziecko. Świętych nie ma. Dobrze by było, żebyśmy wszyscy tę prostą zasadę zrozumieli, także rodzice.

Badania na razie nie potwierdzają korzyści z włączania telefonów do procesu nauczania, choć takie pomysły się pojawiają. Jaki jest Pani pogląd w tej kwestii?
Niewielu jeszcze z tego korzysta, ale ja sama od czasu do czasu wykorzystuję telefon na lekcji – nie po to, żeby dzieci od razu znalazły gotową odpowiedź, tylko żeby wykonały zadanie twórcze: wyszukały informacje z kilku źródeł i wyciągnęły wniosek. Nawet sztuczna inteligencja może w tym pomóc, a dzieci są na tyle sprytne, że traktują to jak rozrywkę.
Pracują w grupach po trzy, cztery osoby, a telefon jest jeden na grupę – więc muszą się dogadać. Nawet gdy korzystają ze sztucznej inteligencji, muszą przeredagować odpowiedź, uargumentować ją. Nie chodzi o to, żeby telefon towarzyszył całej lekcji – to są konkretne zadania na 10–15 minut.
Ważne jest, jak takie zadanie się przygotuje. Proste pytanie z prostą odpowiedzią nie ma sensu – ale jeśli odpowiedź ma przyjąć formę artykułu gazetowego, reklamy czy broszury turystycznej, dzieci muszą dopasować do tego swoją wypowiedź. Nawet sformułowanie pytania do sztucznej inteligencji wymaga zastanowienia. To bywa dla nich trudne, ale w dużej mierze zależy od pomysłowości samego nauczyciela.

A gdyby szkoła prowadziła własną gazetkę? Czy to zaciekawiłoby uczniów?
Kwestia finansowa jest tu główną przeszkodą – wydawaliśmy taką gazetkę w szkole, ale trzeba ją wydrukować, kupić atrament itd. Dochodzi do tego sprawa zdjęć. Szkoła pozyskuje zgody rodziców na zdjęcia albumowe, ale gazetka tworzona przez same dzieci to inna sprawa – one same robią zdjęcia i tu pojawia się problem z ochroną danych osobowych: twarze, wizerunek, prawo do publikacji imienia i nazwiska. To się dziś bardzo skomplikowało. Co innego, gdy materiał przygotowuje administracja szkoły, co innego, gdy robią to same dzieci – rodzicom czy dzieciom może się to nie spodobać.
Sama praca nad gazetką to jednak zajęcie twórcze, ciekawe dla dzieci zainteresowanych dziennikarstwem, pisaniem. Można by je w ten sposób zaangażować w szkole. Kwestia w tym, żeby znaleźć dobre tematy.

A prenumerata „Kuriera Wileńskiego" w szkole, jako alternatywa dla telefonu?
To byłoby świetne rozwiązanie! Taka treść naprawdę rozwija – to realna alternatywa. Wymagałoby to jednak zaangażowania samego nauczyciela, który by do tego zachęcił. W tej kwestii bardzo dużo zależy od konkretnego nauczyciela, jego podejścia i aktywności. Samo z siebie wątpię, aby coś się zadziało.
Z czytaniem jest problem, ale i z pisaniem różnie bywa. Kiedy proszę dzieci, żeby coś napisały na dany temat, to naprawdę duży wysiłek – trzeba prosić i prosić. Ale gdy już napiszą i nauczyciel to sprawdzi, a tekst trafi do szkolnego albumu, są zachwycone – widzą swój tekst podpisany własnym imieniem. To daje im dużo satysfakcji. ■

eprasa.pl 46502a485c

Hejka! Wakacje są też po to, żebyśmy mogli pójść do kina. Tak, tak, to ogromna frajda obejrzeć film w 3D, 4D lub nawet 5D! Nigdy, przenigdy i za nic na świecie nie można tego porównać z tym, co można obejrzeć w telewizji. Współcześnie technologie pozwalają na kreację wspaniałych pomysłów, które mogą zachwycić każdego. A czy wiecie, jak powstaje film i kto przy tym najwięcej się napracuje?

Jak powstaje film?

Nad tym, abyście mogli wygodnie usiąść w obszernej sali, przed wielkim ekranem, w wygodnym fotelu lub krześle i z zapartym tchem obejrzeć film, pracuje bardzo dużo osób. Są to m.in.: aktorzy, reżyser i jego pomocnicy, scenarzyści, operatorzy kamer, dźwiękowcy, charakteryzatorzy, osoby pomagające przy budowie planu filmowego.

Od czego zaczyna się pracę nad filmem?

Od scenariusza! To tekst, na podstawie którego przygotowuje się film. Scenariusz jest podzielony na mniejsze części, czyli sceny. Zawiera nie tylko dialogi, czyli to, co postacie mają powiedzieć, ale także opisy postaci. Scenariusz może być przygotowany na podstawie jakiejś książki, powieści. Wtedy mamy do czynienia z adaptacją filmową dzieła literackiego – ekranizacją. Kto jest najważniejszą osobą pracującą nad filmem?

Reżyser! To on odpowiada za cały film!

Decyduje, kto zagra filmowe role. Akceptuje dekoracje, plenery, muzykę do filmu. Z jego zdaniem musi liczyć się cała ekipa filmowa. Kto obsługuje kamerę? Operator filmowy! Mówimy, że prowadzi on kamerę. To bardzo odpowiedzialne i trudne zajęcie. Zauważcie, jak różne mogą być ujęcia tej samem sceny: zbliżenia, oddalenia, ujęcia z góry i z dołu. Aby film był ciekawy, operator musi wiedzieć, jak prowadzić kamerę, stosować różne ujęcia.

Kto zmienia aktora w filmową postać?

Charakteryzator!

Potrafi sprawić, że aktor w jednej scenie wygląda na młodego, tryskającego zdrowiem młodzieńca, a w innej to pomarszczony staruszek. Charakteryzatorzy potrafią zmienić wygląd postaci za pomocą przeróżnych farbek, sztucznych włosów, zarostu, a nawet sztucznych ran i blizn.

Kto układa sceny w jedną całość?

Montażyści! Kiedy wszystkie sceny filmu zostają już nakręcone, do pracy przystępują montażyści. Montują, czyli układają („sklejają") sceny w jedną całość. Po ukończeniu montażu film trafia do kin. Jak nazywa się pierwszy pokaz filmu? To premiera! Premiery są zazwyczaj bardzo uroczyste, bo to wielkie święto dla wszystkich, którzy pracowali przy produkcji filmu.

eprasa.pl 46502a485c

Piłka nożna – któż nie zna tej gry?

Oj, chyba takiej osoby nie ma! Kto lubi grać w nogę? Oj, chyba każdy chłopak i coraz częściej i liczniej dziewczęta. Czy można sobie wyobrazić wakacyjne zabawy bez gry w piłkę? Oj, chyba nie jest to możliwe.
A tak w ogóle, co wiemy o tej grze?
W meczach piłkarskich uczestniczą dwie rywalizujące ze sobą drużyny. Celem gry jest umieszczenie piłki w bramce przeciwnika.
Zwycięża drużyna, która w regulaminowym czasie gry (dwie połowy po 45 minut każda) zdobędzie więcej bramek.
Mecze piłkarskie odbywają się na prostokątnym, pokrytym murawą boisku. Rozmiary boiska to 45–90 m szerokości i 90–120 m długości, lecz boisko nie może być kwadratowe. Od 14 marca 2008 r. każde nowe boisko powinno mieć 105 m długości i 68 m szerokości.
Decyzję tę przyjął Komitet Wykonawczy FIFA.
Od 1900 r. piłka nożna to dyscyplina olimpijska.

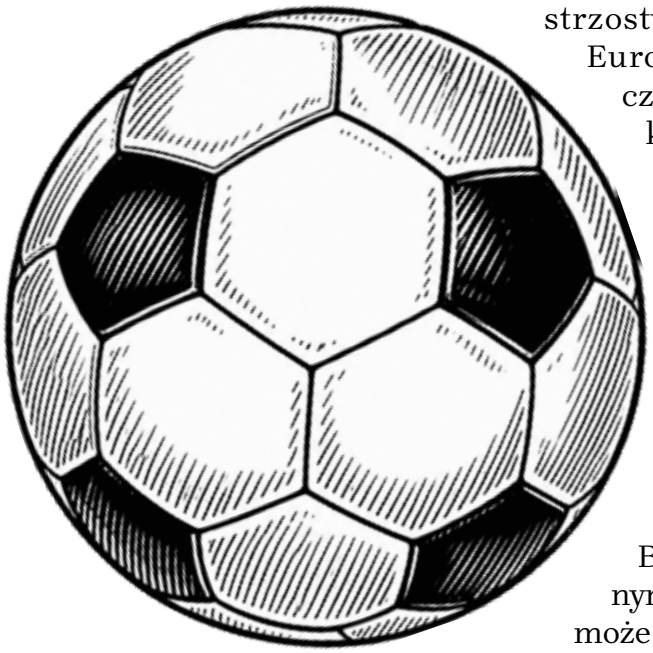

Drużyna piłkarska składa się z 11 zawodników (aby zespół został dopuszczony do meczu, musi być ich co najmniej 7) i zazwyczaj 7 rezerwowych (w finałach mistrzostw świata i mistrzostw Europy – 12). Wśród graczy wyróżniamy bramkarza i graczy z pola: obrońców, pomocników i napastników. Podział graczy z pola na pozycje jest czysto umowny, w aktualnie stosowanych strategiach gry często następuje podczas meczu płynna wymiana między nimi. Bramkarz jest jedynym zawodnikiem, który może dotykać i łapać piłkę rękami w czasie gry (we własnym polu karnym).

Typowa gra piłkarska polega na utrzymywaniu się w posiadaniu piłki tak, aby nie weszła ona w posiadanie przeciwnika, na podaniach piłki nogą lub głową (nie ręką) do partnera z zespołu, a następnie kopnięciu jej do bramki przeciwnika. Kontakt fizyczny między graczami zasadniczo jest niedozwolony.
Piłka jest poza grą po opuszczeniu przez nią całym obwodem boiska lub po przerwaniu gry gwizdkiem przez sędziego. Piłka nożna jest jedną z szybciej prowadzonych gier.

– Jak nazywa się lekarz, który leczy pandy?
– Pandoktor.

– Co mówi dżem, gdy się go otwiera?
– Dżem dobry.

– Co zabiera ze sobą informatyk na turniej rycerski?
– Kopię zapasową.

– Czym różni się fortepian od słonia?
– Fortepian można zasłonić, a słonia nie można zafortepianić.

W laboratorium Pocopotka
Rodzynkowa przemiana

Wsypcie rodzynki do szklanki, tak aby wypełniły mniej niż połowę naczynia. Wypełnijcie szklankę wodą i zamieszajcie. Po paru godzinach wcześniej pokurczone rodzynki znów będą soczyste, okrągłe i duże jak winogrona. Rodzynki to przecież suszone winogrona. **Zanurzone w wodzie nasiąkają i pęcznieją, przypominając świeże owoce.**

eprasa.pl 46502a485c

„Dobry nauczyciel to wypoczęty nauczyciel”. List na spokojne lato

Anna **Pawiłowicz-Janczys**

Szkoła jest dla nas ważna, dlatego trudno ją po prostu wyłączyć wraz z ostatnim dzwonkiem. I nie ma w tym nic złego. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy przez całe lato pozostajemy mentalnie w klasie. Publikujemy list otwarty doświadczonej pedagożki w sprawie wypoczynku nauczycieli.

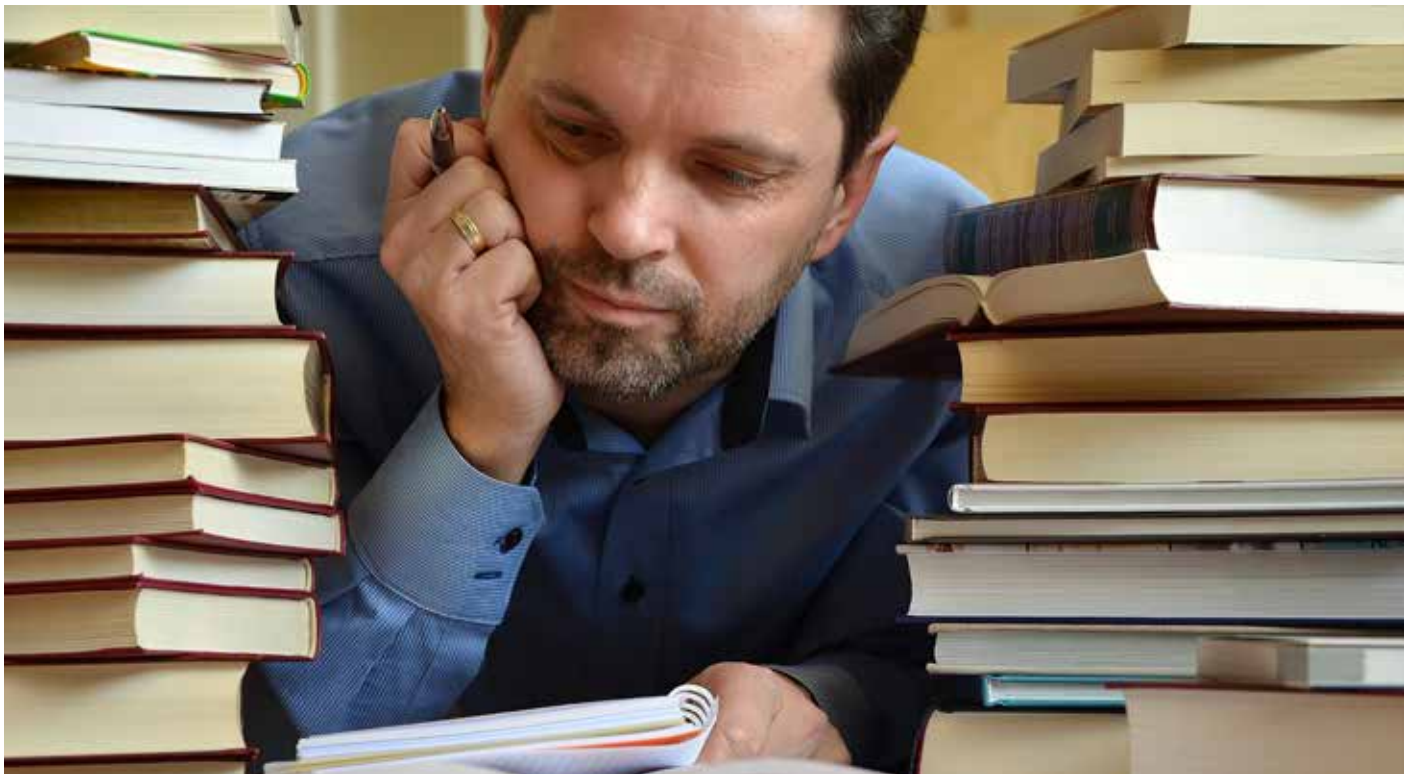

Wakacje nie są zaległym zadaniem domowym nauczyciela **Fot. Adobe Stock**

Drodzy nauczyciele, drodzy rodzice,

lato powinno pachnieć skoszoną trawą, rozgrzanym piaskiem, lasem po deszczu i obiadem jedzonym bez pośpiechu. Powinno być czasem dłuższych poranków, spontanicznych wyjazdów, rodzinnych rozmów i zwyczajnego nicnierobienia.

A jednak my, nauczyciele, nawet podczas wakacyjnych spotkań bardzo szybko zaczynamy rozmawiać o szkole.

Pytamy, jak maturzyści poradzili sobie z egzaminami. Czy dostali się na studia?

Jakie kierunki wybrali? Wspominamy uczniów, którzy nas zaskoczyli, tych, o których nadal się martwimy, i tych, za którymi już zaczynamy tęsknić.

Rozmawiamy o planach na kolejny rok szkolny, nowych podręcznikach, ciekawych metodach, projektach, innowacjach i zmianach, które znów będziemy musieli wdrażać.

Szkoła jest dla nas ważna, dlatego trudno ją po prostu wyłączyć wraz z ostatnim dzwonkiem. I nie ma w tym nic złego. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy przez całe lato pozostajemy mentalnie w klasie, poprawiamy w myślach minione lekcje, planujemy następne i nie pozwalamy sobie naprawdę odpocząć.

Dlatego często powtarzam koleżankom i kolegom jedno zdanie: „Dobry nauczyciel to wypoczęty nauczyciel”.

Nie ten, który podczas wakacji przeczytał najwięcej poradników metodycznych. Nie ten, który nieustannie sprawdza szkolną pocztę i odpowiada na każdą wiadomość.

Dobry nauczyciel to osoba, która we wrześniu potrafi wejść do klasy z cierpliwością, zaciekawieniem i spokojem. Te wewnętrzne zasoby trzeba odbudowywać poprzez sen, ciszę, ruch, spotkania z bliskimi, zmianę otoczenia i czas, w którym nie jesteśmy za nikogo odpowiedzialni. »

eprasa.pl 46502a485c

Nie musimy przez całe lato pracować nad sobą

Wakacje nie są zaległym zadaniem domowym nauczyciela. Nie musimy każdego dnia rozwijać kompetencji, przygotowywać innowacyjnych lekcji i analizować wyników uczniów. Możemy przeczytać książkę, która nie ma nic wspólnego z pedagogiką. Możemy wyjechać bez laptopa. Możemy przez kilka dni nie myśleć o szkole.

Oczywiście wielu z nas właśnie latem wpada na najlepsze pomysły. Podczas spaceru, podróży lub rozmowy nagle pojawia się myśl: „To mogłabym wykorzystać na lekcji". Warto ją zapisać, lecz nie trzeba od razu tworzyć całego projektu. Pomysły mają tę szczególną właściwość, że dojrzewają również wtedy, gdy świadomie nad nimi nie pracujemy.

Odpoczynek nie jest brakiem profesjonalizmu. Jest jego warunkiem.

Zmęczony nauczyciel szybciej się irytuje, trudniej znosi hałas, ma mniej cierpliwości do pytań i częściej interpretuje dziecięce zachowanie jako złośliwość lub brak wychowania. Wypoczęty nauczyciel łatwiej dostrzega, że za zachowaniem ucznia mogą kryć się: lęk, zmęczenie, trudność w zrozumieniu polecenia albo potrzeba uwagi.

Dlatego, drodzy nauczyciele, dajmy sobie tego lata prawo do prawdziwego odpoczynku. Szkoła poczeka. Nasi uczniowie bardziej potrzebują we wrześniu naszej obecności i spokoju niż perfekcyjnie przygotowanej gazetki na korytarzu.

Drodzy rodzice, wasze dziecko także stoi przed wielką zmianą

Szczególne słowa chciałabym skierować do rodziców dzieci, które po raz pierwszy przekroczą próg przedszkola, rozpoczną naukę w pierwszej klasie albo przejdą do nowej szkoły.

Dla dorosłego początek roku szkolnego jest datą w kalendarzu. Dla dziecka może być początkiem zupełnie nowego świata. Nowy budynek, nieznane sale, inne dźwięki i zapachy, nowi koledzy, nauczyciel, którego oczekiwań dziecko jeszcze nie zna. Trzeba będzie zapamiętać, gdzie zostawić kurtkę, kiedy można wstać, jak poprosić o pomoc, gdzie znajduje się toaleta i co zrobić, gdy mamy lub taty nie ma obok.

Dla niektórych dzieci będzie to fascynująca przygoda, dla innych – źródło niepokoju. Czasami oba te uczucia pojawią się jednocześnie.

Nie próbujmy więc przez całe lato przygotowywać dziecka do szkoły za pomocą dodatkowych zeszytów ćwiczeń, codziennego czytania na czas oraz przepytywania z liter i liczb. Dziecko nie musi przyjść do pierwszej klasy z umiejętnościami drugoklasisty. Znacznie bardziej przydadzą mu się samodzielność, poczucie bezpieczeństwa oraz przekonanie, że w trudnej sytuacji może poprosić dorosłego o pomoc.

> Dobry nauczyciel to osoba, która we wrześniu potrafi wejść do klasy z cierpliwością, zaciekawieniem i spokojem. Te wewnętrzne zasoby trzeba odbudowywać w wakacje poprzez sen, ciszę, ruch, spotkania z bliskimi i zmianę otoczenia.

Najpierw odpoczynek, później spokojny rytm

Lato jest również dla dzieci. Nie odbierajmy im wakacji w imię przygotowania do szkoły. Swobodna zabawa, ruch na świeżym powietrzu, rozmowy, podróże, budowanie z klocków, pomaganie w kuchni czy wspólne zakupy rozwijają wiele ważnych umiejętności: planowanie, komunikację, wytrwałość, orientację przestrzenną, liczenie i samodzielność.

Dopiero w ostatnich tygodniach sierpnia warto stopniowo przywracać rytm zbliżony do szkolnego.

Jeżeli przez całe wakacje dziecko chodziło spać bardzo późno, nie oczekujmy, że jednego wieczoru nagle zaśnie o godz. 21. Przesuwajmy porę snu i pobudki o kilkanaście minut. Wprowadźmy spokojne śniadania o podobnej porze. Poćwiczmy ubieranie się bez ciągłego pośpiechu, pakowanie swoich rzeczy, zapinanie kurtki, rozpoznawanie własnych przyborów i samodzielne korzystanie z toalety.

Warto też przejść się w pobliże przedszkola lub szkoły. Pokażmy dziecku drogę, wejście, boisko i przystanek. Opowiedzmy, kto będzie je odprowadzał i odbierał. Im mniej niewiadomych, tym mniejsze napięcie.

Zaufajmy sobie nawzajem

Początek edukacji dziecka jest zmianą również dla nas, rodziców. Czasami jako rodzice przeżywamy rozstanie silniej niż pierwszoklasista. Zastanawiamy się, czy dziecko sobie poradzi, czy znajdzie przyjaciół, czy nauczyciel je zrozumie i czy będzie potrafiło obronić własne granice. To naturalne pytania. Warto jednak uważać, aby nie przekazać dziecku całego swojego niepokoju. Dzieci doskonale odczytują ton głosu, gesty i napięcie dorosłych.

Drodzy rodzice, nie musimy przygotować dziecka na każdą możliwą sytuację.

Drodzy nauczyciele, nie musimy od pierwszego dnia zrealizować wszystkich założeń programu.

Pierwsze tygodnie września powinny służyć przede wszystkim budowaniu relacji, poznawaniu zasad, oswajaniu przestrzeni i tworzeniu poczucia bezpieczeństwa. Dopiero dziecko, które czuje się bezpiecznie, może z ciekawością poznawać świat.

Dlatego życzę nam wszystkim spokojnego lata. Nauczycielom – odpoczynku bez wyrzutów sumienia. Rodzicom – zaufania do dzieci i do siebie. Dzieciom – czasu na zabawę, sen, ruch, nudę i odkrywanie świata we własnym tempie.

Bo dobry początek roku szkolnego nie rodzi się z pośpiechu i napięcia. Rodzi się ze spokoju, bliskości i przekonania, że nie trzeba być gotowym na wszystko od pierwszego dnia.

Czasami wystarczy być gotowym na pierwszy krok.

eprasa.pl 46502a485c

Sierpień pod znakiem pomidora. Prosto, ale nie banalnie

Elżbieta Monkiewicz (@elzbieta.mon na Instagramie)

Są smaki, które mają własny kalendarz. Pierwsze truskawki pachną czerwcem. Kurki – lipcem. A pomidory? Smakują sierpniem. I nie chodzi o te z supermarketowych półek, gdzie przez cały rok leżą idealnie okrągłe, równie czerwone i równie bezbarwne.

Pomidor jest jak dobry redaktor – nie widać jego pracy, ale bez niej wszystko byłoby mniej harmonijne **Fot. Adobe Stock**

Prawdziwy pomidor ma swój niepowtarzalny zapach, możemy nawet nazwać to zapachem słońca. A pod nożem pęka z cichym trzaskiem i sok spływa po desce do krojenia.

Czerwony nieznajomy

Trudno uwierzyć, że Europa przez blisko dwa stulecia bała się tego owocu. Pomidor przybył z Ameryki Południowej w XVI w. na pokładach hiszpańskich statków. Egzotyczny, błyszczący, niemal prowokacyjnie czerwony, wzbudzał więcej niepokoju niż zachwytu. Należał przecież do rodziny psiankowatych – tej samej, do której należą rośliny trujące.

Przez lata sadzono go wyłącznie dla urody. Zdobiono nim ogrody arystokratów, podziwiano owoce, ale nikt rozsądny nie odważył się ich spróbować.

Dopiero później doceniono prawdziwą wartość pomidora – nie dominuje potraw, a sprawia, że wszystkie pozostałe składniki brzmią pełniej. To zasługa naturalnego umami, smaku odpowiedzialnego za głębię i soczystość. Dlatego właśnie kilka plasterków pomidora potrafi odmienić zwykłą kromkę chleba, a długo gotowany sos staje się duszą całego dania. Łyżka gęstego przecieru pomidorowego lub kilka połówek suszonego pomidora sprawią, że danie nabierze niepowtarzalnego smaku. Pomidor potrafi przyjąć najróżniejszą rolę: być fundamentem, łącznikiem lub wisienką na torcie ze znanego powiedzenia. Dzisiaj trudno wskazać drugie warzywo... a właściwie owoc, które tak skutecznie przekroczył granice kultur. Bez pomidorów nie byłoby włoskiej kuchni, jaką znamy. Margherita pozostałaby tylko plackiem z serem, a makaron – makaronem. Hiszpania straciłaby gazpacho, Meksyk swoje salsy, Indie aksamitne curry, a Bliski Wschód wiele aromatycznych dań, które zaczynają się od powoli duszonej cebuli i pomidorów.

Litewskie lato pachnie pomidorami

Na Litwie pomidor nie ma za sobą kilkusetletniej »

eprasa.pl 46502a485c

tradycji, a jednak trudno znaleźć produkt bardziej związany z domowym latem. Jest coś niemal rytualnego w pierwszym sierpniowym zbiorze. Drzwi szklarni otwierają się z charakterystycznym skrzypnięciem, powietrze jest ciężkie od wilgoci, a liście zostawiają na palcach cierpki, zielony aromat. Wystarczy zerwać jeden owoc i zjeść go jeszcze przed wejściem do domu. Nie potrzeba oliwy z Toskanii ani soli z Maldon. Czasem wystarczy kromka żytniego chleba, odrobina masła i szczypta soli. To team „kanapka". Natomiast team „sałatka" powie, że potrzebne są ćwiartki lub ósemki pomidora, cebula (najlepiej ta prosto z grządki) pokrojona w kosteczkę lub szczypiorek, kwaśna śmietana, sól i dużo pieprzu. I trochę czasu, bo białoróżowy płyn na dnie salaterki raptem nabiera wartości złota. I to właśnie w takich chwilach rozumiemy, dlaczego smak ma pamięć.

W litewskich domach pomidory od pokoleń spotykają się z koperkiem, cebulą, twarogiem i śmietaną. Pod koniec lata zamieniają się w marynaty, przeciery, kiszonki i sosy. Teraz zamykamy je w słoikach nie dlatego, że zimą zabraknie pomidorów, ale z tęsknoty za smakiem lata. Dobry kucharz nigdy nie patrzy na pomidora wyłącznie przez pryzmat koloru. Zielony niedojrzały stanie się wyśmienitą marynatą albo chutneyem. Lekko niedojrzały odnajdzie się w długo duszonych potrawach. Dojrzały trafi do sałatki caprese lub na kanapkę z masłem. Ten najbardziej miękki zamieni się w sos, który będzie gotował się powoli przez kilka godzin, aż stanie się gęsty jak aksamit.
Mięsiste bawole serce zachwyca aromatem i niemal kremowym miąższem. Odmiany malinowe urzekają słodyczą, czarne, fioletowe, żółte – swoi kolorem. Niewielkie koktajlowe przypominają cukierki zamknięte w cienkiej skórce, a stare, niemal zapomniane odmiany często smakują tak intensywnie, że trudno uwierzyć, iż wszystkie należą do tej samej rodziny.

Jak rozpoznać dobrego pomidora?

Najlepiej po zapachu. Dojrzały pomidor pachnie łodygą, słońcem i latem. Powinien być jędrny, ale miękko ustępować pod palcami. I nie musi być idealnie gładki, a wręcz przeciwnie – te najpiękniejsze bywają często najmniej interesujące. Nowoczesna hodowla nauczyła pomidory podróżować tysiące kilometrów. Niestety, po drodze wiele z nich zgubiło smak, dlatego gdy tylko możesz, kupuj pomidory od lokalnych ogrodników. Niech będą krzywe, popękane, różnokolorowe.
Jedną z największych, ale i bardzo pospolitych kulinarnych pomyłek jest przechowywanie pomidorów w lodówce. Niska temperatura odbiera pomidorom aromat i sprawia, że ich miąższ staje się mączysty. Najlepiej czują się w temperaturze pokojowej, z dala od ostrego słońca. Do lodówki warto je schować tylko wtedy, gdy są bardzo dojrzałe i wiemy, że nie zjemy ich od razu.
Za to doskonale pomidory znoszą suszenie, pieczenie i mrożenie.
Ich intensywnie czerwony kolor to zasługa likopenu – jednego z najsilniejszych naturalnych przeciwutleniaczy. Co ciekawe, organizm najlepiej przyswaja go nie z surowych pomidorów, lecz z długo gotowanego sosu z dodatkiem oliwy. Do tego witamina C, potas i kwas foliowy sprawiają, że pomidor pozostaje nie tylko jednym z najbardziej lubianych, lecz także najcenniejszych składników letniej kuchni. To kolejny dowód na to, że najprostsze produkty często mają do zaoferowania najwięcej.

Pieczone pomidory faszerowane kaszą gryczaną, fetą i orzechami

Składniki: 6 większych pomidorów • szklanka ugotowanej kaszy gryczanej • 100 g sera feta • garść orzechów włoskich • natka pietruszki • oliwa
Odetnij „czapeczki" pomidorów i wydrąż miąższ. Wymieszaj kaszę z pokruszoną fetą, posiekanymi orzechami i natką, następnie napełnij pomidory farszem, skrop oliwą. Umieść w formie, wysmarowanej oliwą. Piecz ok. 25 minut w 190°C.

Tarta tatin z pomidorami i karmelizowaną cebulą

Składniki: ciasto francuskie • 4–5 pomidorów • 2 średniej wielkości cebule • łyżeczka miodu • ocet balsamiczny • tymianek • masło do cebuli i do posmarowania formy
Cebulę pokrój w piórka, połóż do nienagrzanej patelni razem z masłem i smaż na najmniejszym ogniu, aż stanie się półprzezroczysta. Dodaj miód i podsmaż jeszcze kilka minut. Pomidory pokrój w dość grube plastry.
Patelnię do pieczenia lub formę posmaruj masłem, ułóż plastry pomidorów, na nie dodaj cebulę i kilka kropel octu balsamicznego. Przykryj szczelnie ciastem francuskim. Piecz 30 minut w 200°C. Po upieczeniu odwróć tartę do góry nogami.

Chłodnik pomidorowo-arbuzowy

Składniki: 500 g pomidorów • 300 g arbuza • 1 mały ogórek • sok z limonki • świeża mięta • oliwa
Zblenduj wszystkie składniki i chłódź przez godzinę. Podawaj z kostkami fety i listkami mięty.

Hiszpańska kanapka pan con tomate (katalońskie pa amb tomàquet)

Składniki: kromki chrupiącego wiejskiego chleba lub bagietki • dojrzałe pomidory • ząbek czosnku lub dwa (zależy od upodobań) • najlepsza możliwa oliwa extra virgin • sól morska
Chleb lekko podpiecz w piekarniku lub opiecz w tosterze. Natrzyj czosnkiem gorące kromki. Pomidory przekrój na pół i energicznie wcieraj miąższ w chleb, aż zostanie pokryty warstwą pomidora, skrop oliwą i posyp odrobiną soli.

eprasa.pl 46502a485c

Polowanie na generałów Putina – odcinek szósty

Antoni **Rybczyński**

1 sierpnia we włoskiej restauracji „Balzi Rossi" w Moskwie doszło do potężnego wybuchu. Eksplodował „prezent", który na zamknięte przyjęcie próbowała wnieść kobieta. Wygląda na to, że nie wiedziała, co wnosi... Ktoś zdalnie zdetonował ładunek wybuchowy. Celem był dowódca Sił Powietrzno-Kosmicznych, gen. Aleksandr Czajko, oskarżany o współodpowiedzialność m.in. za zbrodnie w Buczy na Ukrainie.

Restauracja „Balzi Rossi", w której przeprowadzono zamach na gen. Aleksandra Czajkę, mieści się w Domu na Placu Kudryńskim, socrealistycznym wieżowcu zaliczanym do tzw. Siedmiu Sióstr w Moskwie **Fot. media społecznościowe, domena publiczna**

Wybuch miał miejsce ok. godz. 20 czasu moskiewskiego w sobotę 1 sierpnia przy wejściu do ekskluzywnej restauracji włoskiej „Balzi Rossi", mieszczącej się w socrealistycznym wieżowcu z grupy tzw. Siedmiu Sióstr przy Placu Kudrinskim. Celem ataku byli goście dobrze strzeżonej „prywatnej imprezy".

Oficjalna wersja mówi, że wybuchło domowej roboty urządzenie wybuchowe, które nieznana kobieta próbowała wnieść do restauracji. To właśnie ochroniarz, który zażądał kontroli „prezentu" przy wejściu, zapobiegł wniesieniu bomby do środka. Ładunek wybuchowy zadziałał bezpośrednio w rękach kurierki, która go przenosiła; przypuszcza się, że został on zdalnie uruchomiony.

Siła wybuchu była znaczna – 1 kg w ekwiwalencie trotylu; dodatkowo ładunek był wypełniony elementami rażącymi, co wyjaśnia dużą liczbę rannych. Na miejscu zginęli ochroniarz, kurierka oraz jeszcze jeden mężczyzna. Później pojawiły się informacje o kolejnych dwóch ofiarach. Nie podano żadnych nazwisk.

Atak na urodzinową imprezę

Wiele wskazuje na to, że w restauracji świętowano 55. urodziny gen. Aleksandra Czajki, ale też objęcie przez niego nowej funkcji. Siły Powietrzno-Kosmiczne Rosji (odpowiedzialne też za cały system obro- »

eprasa.pl 46502a485c

ny przeciwlotniczej) są pod jego dowództwem od maja 2026 r.

Wcześniej Czajko był m.in. dowódcą rosyjskiej operacji w Syrii (Wielka Brytania nałożyła na niego sankcje za zbrodnie na cywilach) i był jednym z dowódców ofensywy na Kijów w lutym–marcu 2022 r. Doszło wtedy do serii zbrodni na cywilach, m.in. w Buczy. Ukraina przypisuje również Czajce wydanie rozkazów bombardowania obiektów cywilnych w obwodzie kijowskim.

Rosyjskie władze określiły wybuch jako atak terrorystyczny, ale nie potwierdziły, że jego celem był gen. Czajko. Tymczasem był on jednym z dowódców ofensywy na Kijów w lutym–marcu 2022 r. Doszło wtedy do serii zbrodni na cywilach, m.in. w Buczy. Ukraina przypisuje mu też wydanie rozkazów bombardowania obiektów cywilnych w obwodzie kijowskim.

Po wybuchu Narodowy Komitet Antyterrorystyczny poinformował, że rannych zostało 21 osób, a zginęli: kurierka z bombą, ochroniarz, który ją rewidował, oraz jeden z gości przyjęcia, który akurat był tu obok. Później pojawiły się doniesienia, że dwie kolejne osoby zmarły w szpitalu.

Nieoficjalnie mówi się, że jedną z ofiar śmiertelnych był zięć gen. Czajki. Z kolei jego córka, 25-letnia Maria, miała zostać ciężko ranna (otwarte rany głowy). W wyniku wybuchu mogli ucierpieć jeszcze inni bliscy gen. Czajki: ojciec jego zięcia, teść generała oraz siostrzenica żony.

Władze określiły wybuch jako atak terrorystyczny, ale nie potwierdziły, że jego celem był właśnie Czajko. W komunikacie ambasady Rosji w Rzymie mowa jest o rzekomej próbie zastraszenia Włochów przebywających wciąż w Moskwie. Minister spraw zagranicznych Włoch Antonio Tajani nazwał ten komentarz kłamstwem: „Po co Ukraińcom zastraszać Włochów? Wręcz przeciwnie, to Rosjanie zastraszają Włochów, biorąc pod uwagę, że wspieramy Ukrainę".

Zalecenia dla zagrożonych oficjeli

Wybuch w restauracji po raz kolejny wywołał pytania dotyczące protokołów bezpieczeństwa dla wysokich rangą rosyjskich wojskowych. To, że zamach na jednego z najwyższych dowódców wojskowych Rosji został w istocie udaremniony przez ostatnie ogniwo – ochroniarza przy wejściu – stanowi rażącą porażkę rosyjskiego kontrwywiadu.

Podpułkownik FSB w stanie spoczynku, prezes związku Oficerowie Grupy Alfa Aleksiej Fiłatow wyraził opinię, że niedopuszczalne jest organizowanie uroczystości w zwykłych restauracjach, „biorąc pod uwagę statystyki »udanych zamachów« na naszych urzędników".

Politolożka Jekaterina Szulman po zamachu opublikowała na Facebooku instrukcję, jak rosyjscy wojskowi mogą uniknąć zamachu (według niej instrukcja ta jest rozpowszechniana w szpitalach ministerstwa obrony). Zawiera ona zalecenie, by częściowo zmienić wygląd, zrezygnować z usług dostawczych oraz „nie zbliżać się do niespodziewanie dostarczonych przesyłek".

Seria zamachów

Od początku pełnoskalowej agresji Rosji przeciwko Ukrainie wysoko postawieni rosyjscy generałowie giną nie tylko na froncie, stają się również celami zamachów na głębokich tyłach.

W grudniu 2024 r. dowódca sił ochrony radiologicznej, chemicznej i biologicznej Federacji Rosyjskiej gen. Igor Kiriłłow zginął, gdy wychodził z domu przy Prospekcie Riazańskim w Moskwie – bomba, która go raziła, przymocowana była do hulajnogi. Wraz z nim zginął jego zastępca Ilja Polikarpow. Sprawca zamachu podczas przesłuchania oświadczył, że został zwerbowany przez ukraińskie służby specjalne. Został skazany na dożywocie.

W kwietniu 2025 r. zastępca szefa Głównego Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, gen. Jarosław Moskalik, zginął w zamachu w znanej podmoskiewskiej ekskluzywnej miejscowości Bałaszycha. Bomba została podłożona w samochodzie zaparkowanym na podwórzu budynku mieszkalnego. Wybuchła, gdy Moskalik podszedł do samochodu (według przecieków nie należał on do niego). Pod zarzutem zabójstwa zatrzymano Ignata Kuzina, którego śledztwo określiło jako „agenta ukraińskich służb specjalnych". Został on również skazany na dożywocie.

Szef departamentu przygotowań operacyjnych Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, gen. Fanił Sarwarow, też zginął w wyniku wybuchu bomby podłożonej w samochodzie. Wybuch miał miejsce w grudniu 2025 r. na parkingu przy ulicy Jasienowej na południu Moskwy. Generał zdążył wsiąść do samochodu i przejechać kilka metrów.

Dużym echem odbił się zamach na wiceszefa GRU w lutym 2026 r. Do gen. Władimira Aleksiejewa strzelano w holu apartamentowca przy Wołokołamskiej Szosie w Moskwie, gdy wychodził ze swojego mieszkania. Śledczy określali Aleksiejewa jako jednego z głównych koordynatorów rosyjskich formacji „ochotniczych" biorących udział w wojnie z Ukrainą. Mimo oddanych z bliska strzałów Aleksiejew przeżył. Rosjanie wskazali na ukraińskich sprawców, których miano zatrzymać.

Wreszcie kwiecień 2026 r. Gen. dyw. Azatbek Omurbekow w 2022 r. dowodził 64. Brygadą Zmotoryzowaną, która wtargnęła do obwodu kijowskiego. Władze Ukrainy uważają żołnierzy tej brygady za współwinnych zabójstw i tortur ludności cywilnej w mieście Bucza. Ładunek wybuchowy został umieszczony w skrzynce pocztowej na terenie garnizonu wojskowego we wsi Kniaże-Wołkonskie-1 w Kraju Chabarowskim. W wyniku wybuchu zginął dowódca batalionu łączności szkoleniowej. ■

eprasa.pl 46502a485c

Dom pełen rodzeństwa, serce pełne muzyki. Historia Olega Jerochina z Sisters on Wire

Brenda **Mazur**

Dla fanów jest Olegiem Jerochinem – gitarzystą, wokalistą, kompozytorem i założycielem popularnego zespołu Sisters on Wire. Dla najbliższych pozostaje po prostu Leszkiem. Tak też go nazywali koledzy na korytarzach polskiego gimnazjum im. Joachima Lelewela, które ukończył z nadzieją rodziców na kontynuowanie edukacji i uzyskanie jakiegoś „porządnego zawodu". „Kurier Wileński" rozmawia z nim tuż przed kolejnym koncertem.

Już 15 sierpnia zespół Sisters on Wire ze swoim liderem Olegiem Jerochinem ponownie spotka się z publicznością podczas letniego koncertu w Połądze **Fot. Kasparas Lukauskas, materiały prasowe**

Rodzice dbali o wykształcenie licznej gromadki, a rodzina liczyła niemało, bo aż dziesięcioro dzieci. Wychowywali ich z duchem wiary głęboko zakorzenionej w tradycji katolickiej.

Jego mama Maria z d. Wilczyńska, bardzo pragnęła, aby Oleg został księdzem.

On nawet rozważał taką możliwość, bo w jego sercu jest również wiara, ale ku „rozpaczy mamy" zwyciężyła w nim muzyka.

– Od dzieciństwa miałem własny gang – śmieje się dziś zapytany przez „Kurier Wileński", co to znaczy dorastać wśród tak licznego rodzeństwa, gdzie było głośno, tłoczno i... wyjątkowo.

Droga na scenę. Wbrew rodzinie

Muzyka u niego była obecna od zawsze, choć niekoniecznie dominowała nad zwyczajnym życiem. Najpierw był rodzinny hałas, obowiązki i codzienność. Dopiero później pojawiła się gitara, która z czasem stała się jego najwierniejszym towarzyszem. Bywało, że była ważniejsza niż szkolne lekcje, przyznaje Oleg z uśmiechem. Nie była ona jednak rodzajem jakiegoś buntu, lecz stała się nastoletnią fascynacją, a później sposobem wyrażania siebie.

– Mama początkowo nie była zachwycona – wspomina w rozmowie z „Kurierem Wileńskim". Jak każda mama chciała dla syna stabilnego życia i pewnej przyszłości. Nietrud- »

eprasa.pl 46502a485c

no ją zrozumieć. Świat muzyki rzadko daje gwarancję bezpieczeństwa.

Kiedy w wieku 14 lat chwycił za gitarę, od razu wierzył, że będzie miał swój zespół i będzie pisał piosenki. Później dopisało szczęście, bo gdy miał 17 lat, został zaproszony do gry na gitarze przez samego Alana Chošnau, jednego z najbardziej rozpoznawalnych litewskich artystów.

Dla nastolatka była to nie tylko ogromna przygoda, ale także cenna lekcja profesjonalizmu. Wtedy po raz pierwszy zobaczył od środka świat dużych scen, prób i koncertów.

– To był moment, kiedy pomyślałem: „To naprawdę się dzieje" – wspomina.

I wtedy też jego kariera nabrała rumieńców. Wszystko poszło bardzo łatwo – bez żadnego wysiłku i tremy stanął pierwszy raz na scenie.

– Byłem zrelaksowany, niemal płynąłem. Chciałem zobaczyć, dokąd mnie ta muzyka zaprowadzi – mówi.

Bardzo szybko stworzył sobie studio nagraniowe i wiedział, że będzie muzykiem i będzie zajmował się tylko muzyką.

Nie był arogancki, rozumiał obawy mamy, która długo nie wierzyła w tę jego pasję – powtarzała, że gra na gitarze może być jedynie hobby, że powinien się kształcić i zdobyć jakiś pewny zawód, bo profesja artysty jest nieprzewidywalna.

I miała się czym niepokoić, bo rzeczywiście oceny, które wcześniej były bardzo dobre, wyraźnie spadły po tym, jak zaczął grać. – Zdarzało się nawet, że matka zabierała mi gitarę i nie oddawała, dopóki nie odrobiłem lekcji – wspomina artysta.

Ale wszystko się zmieniło, gdy zobaczyła w telewizji koncert, na którym jej syn grał z Alanem Chošnau.

– Wróciłem do domu, a mama była cała we łzach. Przytuliła mnie i powiedziała: „Przepraszam, synu, myślałam, że to tylko gra, że zagrasz i będzie po wszystkim. Nie wiedziałam, że to aż tak poważne". Od tamtej chwili zawsze mnie wspierała, zresztą jak cała rodzina – uśmiecha się.

Mama jest jedną z największych fanek zespołu, śledzi sukcesy syna i kibicuje na każdym kroku zespołowi Sisters on Wire.

Sama nazwa zespołu jest ciekawa i nie oznacza dosłownie żadnej historii o siostrach. To raczej obraz, metafora bliskości, połączeń i relacji, które, podobnie jak przewody, łączą ludzi, emocje i muzykę. Właśnie na emocjach od początku najbardziej zależało muzykom.

Dziś koncerty Sisters on Wire przyciągają tłumy – to prawdziwe widowiska estradowe. Fani szaleją, słuchając ich szlagierów, tańczą i śpiewają
Fot. Gabrielius Jauniškis, materiały prasowe

> Podczas koncertów setki osób śpiewają razem z zespołem „Mėlyna mėlyna", „Taip jau gavosi" czy „Nieko nebijok". Dla muzyków są to chwile, których nie da się porównać z niczym innym. – Kiedy słyszysz, że cały tłum zna każde słowo twojej piosenki, trudno opisać emocje. To ogromna wdzięczność – mówi Jerochin.

Historia powstania zespołu Sisters on Wire

Za Sisters on Wire, który powstał w 2014 r., kryje się wesołe i utalentowane trio: wokalista, klawiszowiec i gitarzysta Oleg Jerochin, gitarzysta Filip Gusev oraz perkusista Gintas Gecevičius.

Warto tu wspomnieć, że i powstanie zespołu ma swoje początki w rodzinnym mieszkaniu Olega. Otóż, gdy starsze rodzeństwo już podrosło i wyprowadziło się „na swoje", rodzice postanowili wynająć pokoje studentom. Tam właśnie pomieszkiwał Filip, tam Oleg poznał swoją przyszłą żonę, która do jego serca dotarła... przez żołądek.

– Wróciłem z próby, a ona powiedziała: „Chcesz, żebym ci coś ugotowała?". To był pierwszy raz, kiedy nie mama ani siostra dla mnie gotowały, lecz dziewczyna, i to było super! Można więc powiedzieć, że najpierw zamieszkaliśmy razem, a potem po prostu się przyjaźniliśmy – śmieje się Oleg.

Notabene jego mama do dziś wspomina, że takiej pizzy, jaką robiła późniejsza synowa, nie jadła nigdy, w najlepszej pizzerii.

W jego domu mieszkał też przez jakiś czas Filip, z którym stworzyli zespół.

Na początku grupa formowała się zdalnie, bo ponad 10 lat temu wszyscy byli rozrzuceni po różnych miastach. Mieszkali w Londynie, w Szawlach i Wilnie, ale odległości zdawały się nie przeszkadzać w komunikacji. Każdy wnosił własne doświadczenia i muzyczne inspiracje. »

eprasa.pl 46502a485c

– Z Filipem przyjaźnimy się od dawna – opowiada Oleg. – Pokazałem mu, co tworzę, a on pokazał mi swoją twórczość. Zrozumieliśmy, że nasz styl i piosenki są bardzo podobne, przekaz ten sam, więc zaczęliśmy razem pisać.

Filip mieszkał wtedy od 10 lat w Londynie i Oleg zdecydował się nawet na wyjazd do Londynu, planowali tam założyć zespół, ale zdał sobie sprawę, że to zupełnie nie jego miasto.

– Uwielbiam Wilno, mam tu studio i wszystkie warunki do twórczości, więc wróciłem – mówi bez żalu.

Również Filip, choć tam ułożył sobie już życie i wszyscy londyńscy znajomi mu odradzali, że robi największy błąd w swoim życiu, postanowił pojechać na Litwę, żeby tu tworzyć muzykę. Byli więc we dwóch i pilnie poszukiwali perkusisty. Pierwszym był Gintas Gecevičius, perkusista zespołu BIX, ale on mieszkał w Szawlach, więc ciągłe dojazdy na próby zniechęciły go i zrezygnował. Szukali dalej. Trafili na Mariusa Oršauskasa. Zespół był stworzony. Rozkręcał się.

I tak, Oleg, skromny chłopak z wielodzietnej rodziny, zamiast wybrać „porządny zawód", postawił wszystko na muzykę. Historia zatoczyła piękne koło. Dziś koncerty Sisters on Wire przyciągają tłumy – to prawdziwe widowiska estradowe. Fani szaleją, słuchając ich szlagierów, tańczą i śpiewają. I z zaciekawieniem wyczekują na nowe piosenki, nowe albumy.

Dorobek Sisters on Wire

Już 2015 r. powstały pierwsze albumy studyjne zespołu. W 2016 r. zespół wydał swój debiutancki album „Never Turn the Lights Off", który zyskał największą popularność dzięki utworowi „Parallel World". W 2023 r. powstał drugi album studyjny „Horizontai", dostępny w serwisie Spotify, zawierający hity: „Mėlyna Mėlyna", „Taip Jau Gavosi" i „Teb esi Tu". W 2025 r. zrealizowano trzeci album studyjny „Siluetai", wydany na płytach winylowych w kolorach czarnego i czerwonego marmuru. Obecnie grupa pracuje nad czwartym albumem.

Oleg Jerochin z mamą. Skromny chłopak z wielodzietnej rodziny, zamiast wybrać „porządny zawód", postawił wszystko na muzykę
Fot. archiwum prywatne

Twórczość zespołu została doceniona przez krytyków muzycznych. Zespół został nominowany do nagród MAMA Awards w kategoriach Rockowy Zespół Roku oraz Przełom Roku. W 2018 r. utwory „Parallel World" i „You and I" znalazły się na ścieżce dźwiękowej do filmu dokumentalnego „A Word of Praise for Action" (w reżyserii Aistė Jauraitė i Skaistė Jauraitė).

Budowanie tożsamości

Zespół przechodził różne zmiany personalne i stylistyczne, szukając własnego brzmienia. Przełomem dla grupy okazało się dołączenie do zespołu w 2016 r. Ievy Ščerbinskaitė, znanej z programu „X Factor". Oleg poznał ją, pracując jako producent muzyczny, tworząc aranżacje dla młodych wykonawców.

Ieva była wtedy członkinią zespołu Original Copy. I po namowach dołączyła do ich zespołu.

– Na początku śpiewała jako gość, wykonaliśmy razem kilka piosenek, później była wokalistką towarzyszącą, a teraz gra na klawiszach, śpiewa i zdajemy sobie sprawę, że bez niej niektórych piosenek już sobie nie wyobrażamy – mówi Oleg.

Jej obecność wniosła nową energię, świeżość i charakterystyczne wokale, które doskonale uzupełniły zespół. Od tamtej pory Sisters on Wire zaczął coraz wyraźniej budować własną tożsamość.

Jak właściwie określić muzykę Sisters on Wire? Jedni mówią o rocku, inni o indie-popie. Sam Oleg unika sztywnych definicji. – Gramy muzykę, która przede wszystkim ma poruszać ludzi – twierdzi wokalista.

I chyba właśnie dlatego ich utwory trafiają do tak szerokiej publiczności. Podczas koncertów setki osób śpiewają razem z zespołem „Mėlyna mėlyna", „Taip jau gavosi" czy „Nieko nebijok". Dla muzyków są to chwile, których nie da się porównać z niczym innym.

– Kiedy słyszysz, że cały tłum zna każde słowo twojej piosenki, trudno opisać emocje. To ogromna wdzięczność – mówi Jerochin.

Jednym z najbardziej osobistych utworów pozostaje „Mėlyna mėlyna". Jak zdradza Oleg, piosenka powstała z myślą o jego żonie. To właśnie takie historie pokazują, że naj- »

> Droga zespołu nie była pozbawiona trudnych momentów. Każda grupa przeżywa kryzysy: zmęczenie, wątpliwości czy różnice zdań. Tak było również w przypadku Sisters on Wire. – Najważniejsze było to, że zawsze potrafiliśmy rozmawiać i przypominać sobie, dlaczego właściwie zaczęliśmy razem grać – opowiada Oleg Jerochin.

eprasa.pl 46502a485c

większe przeboje często rodzą się z najbardziej prywatnych emocji.

Droga zespołu nie była jednak pozbawiona trudnych momentów. Każda grupa przeżywa kryzysy – zmęczenie, wątpliwości czy różnice zdań. Tak było również w przypadku Sisters on Wire.

– Najważniejsze było to, że zawsze potrafiliśmy rozmawiać i przypominać sobie, dlaczego właściwie zaczęliśmy razem grać – opowiada wokalista.

To właśnie wspólna pasja okazała się silniejsza od wszystkich przeciwności.

Dziś Oleg mówi o sobie, że jest szczęśliwym muzykiem. Największą satysfakcję daje mu możliwość tworzenia nowych utworów i obserwowania, jak stają się częścią życia innych ludzi.

Marzenia również się zmieniły. Kiedyś były nimi pierwsze koncerty i własne piosenki. Dziś myśli przede wszystkim o tym, by nadal tworzyć muzykę szczerą, która będzie zostawała z ludźmi na długo.

Oleg mówi o sobie, że jest szczęśliwym muzykiem. Największą satysfakcję daje mu obserwowanie, jak jego muzyka staje się częścią życia innych ludzi
Fot. Rūta Verseckaitė, materiały prasowe

Nie bój się!

Już 15 sierpnia zespół Sisters on Wire ponownie spotka się z publicznością podczas letniego koncertu w Połądze. To jedno z tych wydarzeń, na które fani czekają każdego roku.

– Chcemy po prostu spędzić razem piękny letni wieczór. Będzie dużo energii, emocji i naszych największych utworów. Zapraszamy wszystkich, którzy w tym czasie bawią nad Bałtykiem – zachęca Oleg. Patrząc na drogę, którą przeszedł – od chłopca ćwiczącego godzinami na gitarze w domu pełnym rodzeństwa do muzyka występującego przed setkami ludzi – trudno nie odnieść wrażenia, że najważniejsze pozostaje w nim niezmienne. Nadal gra z tą samą pasją i wiarą, że muzyka potrafi łączyć ludzi. A skoro sami śpiewają „Nieko nebijok!" (Nie bój się!) – pozostaje życzyć im kolejnych scen, kolejnych tłumów śpiewających razem z zespołem i następnych marzeń, które zamienią się w piękne piosenki.

eprasa.pl 46502a485c

Profesjonalna pielęgnacja to ważny element odpowiedzialnej opieki nad zwierzęciem domowym

Honorata **Adamowicz**

Pielęgnacja psów już dawno przestała ograniczać się wyłącznie do kąpieli i strzyżenia. Coraz więcej właścicieli traktuje swoje czworonogi jak pełnoprawnych członków rodziny i świadomie dba nie tylko o ich wygląd, lecz także o zdrowie skóry i sierści, komfort oraz dobre samopoczucie.

Częstotliwość profesjonalnej pielęgnacji zależy od wielu czynników – przede wszystkim od rasy, rodzaju sierści oraz indywidualnych potrzeb zwierzęcia **Fot. Adobe Stock**

Wraz z rosnącą świadomością opiekunów dynamicznie rozwija się także rynek usług dla zwierząt, a psie SPA z luksusowej nowinki staje się ważnym elementem odpowiedzialnej opieki nad pupilem.

Jak podkreśla Milda Maigienė, dyrektor ds. marketingu w salonie Dog SPA, różnica między tradycyjnym salonem pielęgnacji a psim SPA jest znacznie większa, niż mogłoby się wydawać.

– W tradycyjnym salonie pielęgnacji wykonuje się przede wszystkim standardowe zabiegi, takie jak: kąpiel, strzyżenie i zabiegi higieniczne. Psie SPA koncentruje się natomiast nie tylko na efekcie estetycznym, lecz także na pielęgnacji skóry i sierści. Podczas zabiegów wykorzystujemy profesjonalne kosmetyki oraz specjalistyczne preparaty stworzone wyłącznie dla psów. Skóra i sierść są odżywiane produktami wzbogaconymi o minerały oraz inne cenne składniki, dzięki czemu stają się zdrowsze, lepiej nawilżone, bardziej miękkie i odzyskują naturalny blask. To znacznie więcej niż zwykły zabieg kosmetyczny, ponieważ troszczymy się nie tylko o wygląd zwierzęcia, ale także o kondycję jego skóry i sierści – mówi.

Jak zauważa, zainteresowanie tego typu usługami z roku na rok wyraźnie rośnie. Jeszcze kilkanaście lat temu wielu właścicieli postrzegało psie SPA jako kosztowny kaprys lub oznakę prestiżu. Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

– Coraz więcej osób traktuje swoje zwierzęta jak pełnoprawnych członków rodziny, dlatego większą wagę przywiązują nie tylko do ich wyglądu, lecz także do zdrowia skóry i sierści, komfortu i ogólnego dobrostanu – podkreśla Milda Maigienė.

Nie tylko kwestia estetyki

Z usług psiego SPA korzystają dziś psy praktycznie wszystkich ras i wielkości – od najmniejszych po największe. Wiek zwierzęcia również nie stanowi przeszkody. – Zabiegi wykonujemy zarówno u młodych, jak i starszych psów. Wiek nie ma większego znaczenia, »

eprasa.pl 46502a485c

ponieważ zakres pielęgnacji zawsze dostosowujemy do potrzeb konkretnego zwierzęcia – wyjaśnia.

Specjalistka zwraca uwagę, że profesjonalna pielęgnacja nie jest wyłącznie kwestią estetyki. Jej zdaniem regularne zabiegi mają realny wpływ na zdrowie zwierzęcia. – Profesjonalne zabiegi pomagają odbudować i utrzymać dobrą kondycję skóry oraz sierści. Poprawiają ich nawilżenie, odżywiają skórę, ograniczają jej przesuszenie, a sierści nadają zdrowy wygląd i naturalny połysk – zaznacza.

Jednocześnie podkreśla, że w przypadku problemów dermatologicznych właściciele nie powinni od razu zgłaszać się do salonu pielęgnacji. – Jeżeli właściciel zauważy problemy ze skórą lub sierścią swojego pupila, w pierwszej kolejności powinien udać się do lekarza weterynarii. Dopiero po ustaleniu przyczyny problemu i potwierdzeniu przez specjalistę, że zabiegi są wskazane, możemy wykonać profesjonalne zabiegi nawilżające i regenerujące. Naszym celem nie jest jedynie poprawa wyglądu psa, ale przede wszystkim zadbanie o to, aby wszystkie wykonywane procedury były bezpieczne i korzystne dla jego zdrowia – mówi.

Wizyta w SPA powinna być przyjemna

Choć z zabiegów może korzystać zdecydowana większość psów, bywają sytuacje, w których specjaliści muszą odmówić wykonania usługi. – Jeżeli zwierzę jest wyjątkowo agresywne i jego zachowanie stwarza zagrożenie dla pracowników, innych klientów lub samego psa, nie możemy przeprowadzić zabiegu. Najważniejsze jest zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim osobom i zwierzętom przebywającym w salonie – wyjaśnia.

Dużo uwagi personel poświęca także pierwszej wizycie psa w salonie. To właśnie ona często decyduje o tym, czy kolejne wizyty będą kojarzyły się zwierzęciu z pozytywnym doświadczeniem. – Wszystko zależy od charakteru psa i jego

Kiedy Dog SPA rozpoczynało działalność, wielu uważało, że psie SPA to jedynie moda albo oznaka prestiżu. Wiele się zmieniło!
Fot. archiwum Dog SPA

wcześniejszych doświadczeń. Jeżeli zwierzę jest dobrze zsocjalizowane, nie boi się wody i nowych miejsc, pierwsza wizyta zazwyczaj przebiega bardzo spokojnie, a nawet staje się dla niego przyjemnym doświadczeniem lub formą zabawy. Bardziej lękliwym i wrażliwym psom poświęcamy znacznie więcej czasu. Pozwalamy im oswoić się z otoczeniem, poznać specjalistę i poczuć się bezpiecznie. Staramy się, aby pierwsze spotkanie przebiegało bez stresu – tłumaczy.

Groomerzy widzą od razu

O tym, czy pies czuje się spokojnie, doświadczeni groomerzy potrafią ocenić już po kilku chwilach obserwacji. – Najwięcej mówi mowa ciała zwierzęcia. Obserwujemy jego zachowanie, wyraz oczu, postawę, ułożenie ogona, sposób oddychania oraz reakcję na otoczenie. To pozwala nam szybko rozpoznać, czy pies czuje się komfortowo, czy zaczyna odczuwać stres – wyjaśnia.

> Zmieniło się podejście do wydatków związanych z opieką nad zwierzętami. Coraz więcej właścicieli świadomie uwzględnia w domowym budżecie koszty profesjonalnej pielęgnacji.

Wydatki związane z opieką nad zwierzętami

Częstotliwość profesjonalnej pielęgnacji zależy od wielu czynników – przede wszystkim od rasy, rodzaju sierści oraz indywidualnych potrzeb zwierzęcia. – Najczęściej zalecamy wykonywanie profesjonalnych zabiegów co dwa do czterech miesięcy. Są jednak rasy, zwłaszcza psy z dłuższą sierścią, które wymagają pielęgnacji znacznie częściej – mówi.

Nastąpiła zmiana w podejściu

Zdaniem Mildy Maigienė w ciągu ostatnich 17 lat nastąpiła ogromna zmiana w podejściu właścicieli do pielęgnacji zwierząt. – Kiedy rozpoczynaliśmy działalność, wiele osób uważało, że psie SPA to jedynie moda albo oznaka prestiżu. Dziś coraz więcej właścicieli rozumie, że profesjonalna pielęgnacja nie jest wyłącznie kwestią wyglądu. To ważny element odpowiedzialnej opieki, który pomaga utrzymać zdrową skórę, zadbaną sierść i dobre samopoczucie psa – podkreśla.

Zmieniło się też podejście do wydatków związanych z opieką nad zwierzętami. Coraz więcej właścicieli świadomie uwzględnia w domowym budżecie koszty profesjonalnej pielęgnacji. – Wiele zależy od potrzeb konkretnej rasy oraz podejścia właściciela. Osoby wybierające psy wymagające regularnej pielęgnacji zazwyczaj od początku wiedzą, że wiąże się to z większymi wydatkami – mówi Maigienė.

Jak przyznaje, przez lata pracy nie brakowało także nietypowych próśb dotyczących wyglądu psów. – Spotykaliśmy się z bardzo różnymi, czasem naprawdę zaskakującymi życzeniami właścicieli. Zawsze jednak staramy się znaleźć rozwiązanie, które spełni ich oczekiwania, ale jednocześnie będzie bezpieczne i odpowiednie dla samego zwierzęcia. Dobro psa pozostaje dla nas najważniejsze – podsumowuje Milda Maigienė.

eprasa.pl 46502a485c

Każde dziecko zasługuje na szansę! Medycyna zaczyna się od człowieka

Rozmawiał Leszek **Wątróbski**

„Kurier Wileński" o rozwoju diagnostyki chorób rzadkich i wyzwaniach współczesnej pediatrii rozmawia z prof. dr hab. n. med. Marią Giżewską, kierownikiem Kliniki Pediatrii, Chorób Rzadkich i Medycyny Metabolicznej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie oraz pełnomocnikiem rektora ds. współpracy międzynarodowej.

Prof. Maria Giżewska: Bardzo nas cieszy rozwijająca się współpraca z Uniwersytetem Wileńskim, która otwiera możliwości wspólnych badań naukowych i wymiany studentów **Fot. Leszek Wątróbski**

Leszek Wątróbski: Pani Profesor, od ponad 40 lat jest Pani związana z Pomorskim Uniwersytetem Medycznym i szpitalem klinicznym. To już nie tylko miejsce pracy, ale właściwie całe życie.

Maria Giżewska: Rzeczywiście. Gdy patrzę wstecz, mam wrażenie, że moje życie od początku było związane z tym miejscem. Jestem Szczecinianką z urodzenia, a moja rodzina należy do grona tych, którzy po wojnie współtworzyli nowe życie miasta. Mój dziadek przyjechał do Szczecina już w kwietniu 1945 r., jeszcze przed zakończeniem wojny. Rodzice pochodzili z Wielkopolski, ale to właśnie tutaj stworzyli dom. Tutaj się wychowałam, tutaj studiowałam, założyłam rodzinę i tutaj od wielu lat leczę dzieci.
Medycyna jest obecna w naszej rodzinie od pokoleń. Moja mama była pediatrą i to ona zaraziła mnie miłością do tej specjalizacji. Mąż również jest lekarzem, nasze dziecko także wybrało medycynę. Dziś rosną już wnuczki i mam nadzieję, że one również będą miały odwagę realizować swoje pasje, niezależnie od tego, jaką drogę wybiorą.

Można powiedzieć, że zawód lekarza jest u Państwa rodziną tradycją.

Tak, ale nigdy nie traktowaliśmy go jak rodzinnego obowiązku. To raczej sposób myślenia o życiu i odpowiedzialności za drugiego człowieka. W domu zawsze rozmawiało się o pacjentach, o nowych metodach leczenia, o nauce. Takie rozmowy kształtują człowieka od najmłodszych lat.
Nigdy nie żałowałam wyboru pediatrii. Uważam, że to najpiękniejsza dziedzina medycyny. Dzieci są szczere, autentyczne, a ich uśmiech potrafi wynagrodzić najtrudniejszy dyżur. Pediatria uczy pokory, cierpliwości i ogromnej odpowiedzialności.

»

eprasa.pl 46502a485c

Dziś jest Pani jednym z najwybitniejszych w Polsce specjalistów zajmujących się chorobami rzadkimi. Jak zaczęła się ta droga?
Początkowo zajmowałam się klasyczną pediatrią. Z czasem coraz bardziej fascynowały mnie choroby metaboliczne, a później szerzej – choroby rzadkie. To niezwykle trudna, ale jednocześnie bardzo dynamicznie rozwijająca się dziedzina medycyny.
Każda z tych chorób występuje bardzo rzadko, jednak wszystkich razem jest już ponad 10 tys. Szacuje się, że na świecie żyje od 300 do 400 mln osób z chorobami rzadkimi. W Polsce problem dotyczy nawet 3 mln osób. To pokazuje, że choroby rzadkie wcale nie są tak rzadkie, jak mogłoby się wydawać.

Co jest w nich najtrudniejsze?
Przede wszystkim postawienie właściwej diagnozy. Większość tych chorób ma podłoże genetyczne, wiele ujawnia się już w pierwszych dniach życia, ale część daje niespecyficzne objawy i przez długie lata pozostaje nierozpoznana. Medycy używają określenia „odyseja diagnostyczna". Rodzice odwiedzają kolejnych specjalistów, wykonują dziesiątki badań, a odpowiedzi wciąż nie ma. My staramy się tę drogę skrócić. Im szybciej poznamy przyczynę choroby, tym większe są szanse na skuteczne leczenie lub przynajmniej zahamowanie jej postępu.

Dlatego tak ważne są badania przesiewowe noworodków?
W Polsce każde nowo narodzone dziecko przechodzi badania przesiewowe. Z niewielkiej próbki krwi pobranej z pięty w trzeciej dobie życia można wykryć wiele ciężkich chorób, jeszcze zanim pojawią się pierwsze objawy.
W przypadku części z nich wystarczy odpowiednio wcześnie rozpocząć leczenie lub zastosować specjalną dietę, aby dziecko mogło rozwijać się prawidłowo. To ogromny sukces współczesnej medycyny.

Państwa klinika należy dziś w Polsce do najważniejszych ośrodków zajmujących się chorobami rzadkimi.
To zasługa całego zespołu. Medycyna nie jest sportem indywidualnym. Za każdym sukcesem stoi praca lekarzy, diagnostów laboratoryjnych, genetyków, pielęgniarek, dietetyków i rehabilitantów.

Zespół Kliniki Pediatrii, Chorób Rzadkich i Medycyny Metabolicznej PUM wraz z lekarzami rezydentami i pielęgniarką oddziałową **Fot. Facebook, archiwum prywatne**

Nasza klinika prowadzi diagnostykę najbardziej skomplikowanych przypadków i rzeczywiście o pomoc zgłaszają się do nas rodziny chorych dzieci z całej Polski. Korzystamy z najnowocześniejszych metod diagnostyki genetycznej i współpracujemy z najlepszymi laboratoriami europejskimi. Dzięki temu udaje się rozpoznawać także choroby ultrarzadkie, o których jeszcze kilkanaście lat temu wiedzieliśmy bardzo niewiele.

Coraz częściej mówi się również o nowoczesnych terapiach. Jeszcze niedawno wiele chorób rzadkich uznawano za nieuleczalne. Dziś sytuacja zmienia się bardzo szybko. Pojawiają się terapie genowe, leczenie enzymatyczne, nowoczesne leki oraz specjalistyczne programy żywieniowe.
W naszej klinice prowadzimy badania kliniczne nad nowymi terapiami. To daje dzieciom dostęp do leczenia, które często dopiero wchodzi do praktyki medycznej. Dla wielu rodzin jest to jedyna szansa.

Jest Pani związana z tymi dziećmi przez wiele lat.
Bardzo często przez całe życie. Mam pacjentów, których diagnozowałam trzydzieści, a nawet 35 lat temu. Dziś przychodzą do mnie już ze swoimi dziećmi. To niezwykłe uczucie. Lekarz obserwuje nie tylko przebieg choroby, lecz także całe życie rodziny.
To właśnie dlatego pediatria jest tak wyjątkowa. Leczymy nie tylko dziecko. Wspieramy także rodziców, rodzeństwo i wszystkich, którzy każdego dnia zmagają się z konsekwencjami ciężkiej choroby.

Wojna w Ukrainie postawiła przed Państwa kliniką nowe wyzwania.
Od pierwszych dni wojny pomagaliśmy dzieciom, które przyjechały do Polski z Ukrainy. Wśród nich były również dzieci cierpiące na wrodzone wady metabolizmu i choroby rzadkie, wymagające specjalistycznego leczenia. Trzeba było bardzo szybko zapewnić im opiekę, kontynuację terapii i diagnostykę.
Dzisiaj wiele z tych rodzin mieszka już w Polsce, a ich dzieci pozostają naszymi pacjentami. W medycynie narodowość nie ma znaczenia. Liczy się człowiek, który potrzebuje pomocy.

Mimo ogromu obowiązków wciąż mówi Pani o swojej pracy z ogromnym entuzjazmem.
Bo naprawdę lubię to, co robię. Gdybym jeszcze raz miała wybierać zawód, ponownie zostałabym pediatrą. Nie wyobrażam sobie innej »

eprasa.pl 46502a485c

drogi. Oczywiście, bywają dni bardzo trudne. Nie zawsze możemy wyleczyć pacjenta. Ale zawsze możemy zrobić wszystko, aby pomóc dziecku i jego rodzinie. Właśnie to daje poczucie sensu naszej pracy.
Medycyna rozwija się dziś niezwykle szybko. To, co jeszcze kilka lat temu wydawało się niemożliwe, staje się codziennością. Dlatego jestem przekonana, że przyszłość leczenia chorób rzadkich będzie wyglądała zupełnie inaczej niż obecnie. Najważniejsze jednak pozostaje niezmienne – za każdą diagnozą stoi konkretne dziecko i konkretna rodzina. Nigdy nie wolno o tym zapominać.

Czego Pani najbardziej brakuje?
Chciałabym, aby doba miała 48 godzin. Tyle rzeczy się dzieje. Ta specjalizacja – choroby rzadkie – jest dziś czymś niezwykłym. Coraz częściej mówi się wręcz o medycynie chorób rzadkich. Każdy z nas prawdopodobnie zna osobę z chorobą rzadką, choć często nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Można wyglądać zupełnie zdrowo, a jednocześnie cierpieć na ciężką chorobę rzadką dotyczącą wątroby, serca czy innego narządu. Niezmiernie ważny jest także rozwój diagnostyki i dostęp do nowoczesnego leczenia.

W szpitalu pełni Pani funkcję zastępcy lekarza kierującego Kliniką Pediatrii, Endokrynologii, Diabetologii, Chorób Metabolicznych i Kardiologii Wieku Rozwojowego.
Natomiast na uniwersytecie kieruję Kliniką Pediatrii, Chorób Rzadkich i Medycyny Metabolicznej. Jestem również konsultantem wojewódzkim w dziedzinie pediatrii metabolicznej, wiceprzewodniczącą Komitetu Naukowego Europejskiego Towarzystwa Fenyloketonurii, wiceprzewodniczącą Polskiego Towarzystwa Wrodzonych Wad Metabolizmu oraz pełnomocnikiem rektora do spraw współpracy międzynarodowej. Wszystkie te funkcje wzajemnie się uzupełniają.

Pomorski Uniwersytet Medyczny jest dziś uczelnią o wyraźnie międzynarodowym charakterze.
Studiują u nas młodzi ludzie z wielu krajów świata. Nasi absolwenci są cenionymi lekarzami w Szwecji,

Prof. Maria Giżewska z małymi pacjentami i ich rodzicami
Fot. Leszek Wątróbski

Norwegii, na Wyspach Owczych, w Niemczech i wielu innych krajach. To ogromny sukces uczelni i dowód, że konsekwentnie budujemy jej międzynarodową pozycję.

Jest Pani również pełnomocnikiem rektora PUM ds. współpracy międzynarodowej. Co dziś oznacza umiędzynarodowienie uczelni?
Przede wszystkim budowanie trwałych partnerstw naukowych. Współpracujemy z wieloma ośrodkami europejskimi, rozwijamy kontakty z Niemcami, Hiszpanią, Litwą, Japonią i innymi krajami. Szczególnie obiecująco zapowiada się współpraca z Japonią. Blisko współpracujemy również z partnerami z Niemiec, zwłaszcza z ośrodkami w Rostocku, a także z uczelniami w Hiszpanii. Bardzo zależy nam na dalszym rozwoju współpracy międzynarodowej. Wierzę, że właśnie wymiana doświadczeń, wspólne badania naukowe oraz otwartość na świat są drogą do rozwoju nowoczesnej medycyny. Od lat rozwijamy kontakty z wieloma ośrodkami zagranicznymi.

A jak wygląda współpraca z Litwą?
Łączą nas wspólna historia regionu Morza Bałtyckiego oraz podobne wyzwania stojące przed współczesną medycyną. Takie partnerstwa pozwalają rozwijać naukę ponad granicami. Bardzo cieszy nas rozwijająca się współpraca z Uniwersytetem Wileńskim, która otwiera możliwości wspólnych badań naukowych, wymiany studentów i pracowników oraz realizacji projektów akademickich.
Znaczenie kontaktów z Litwą wyraźnie wybrzmiało także podczas jubileuszowych obchodów 70-lecia PUM w Szczecinie. Obecność zagranicznych gości, w tym przedstawicieli uczelni litewskich, nadała uroczystości międzynarodowy wymiar i potwierdziła, że szczecińska uczelnia jest ważnym partnerem w europejskiej przestrzeni akademickiej. To właśnie takie momenty pokazują, że współpraca nie kończy się na dokumentach – żyje w spotkaniach i wspólnym świętowaniu sukcesów. Kamieniem milowym w tych relacjach było podpisanie umowy o współpracy pomiędzy obiema uczelniami w 2019 r. Dokument sygnowali rektor Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Bogusław Machaliński oraz rektor Uniwersytetu Wileńskiego prof. Artūras Žukauskas. Porozumienie otworzyło drogę do zacieśnienia współpracy naukowej i dydaktycznej, umożliwiając realizację wspólnych projektów badawczych, wymianę pracowników naukowych oraz studentów, a także organizację konferencji i seminariów poświęconych współczesnym wyzwaniom medycyny. ■

eprasa.pl 46502a485c

Cotygodniowe ogłaszanie zwycięzców. Kupon z rozwiązaniem krzyżówki można nadsyłać do 14 sierpnia, na adres redakcji: „Kurier Wileński" Birbynių g. 4A LT-02121 Vilnius lub pocztą elektroniczną: j.balkiewicz@kurierwilenski.lt z dopisanym w wiadomości imieniem i nazwiskiem nadawcy. Wyniki zamieścimy 22 sierpnia

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z 25 LIPCA

Poziomo:
SZAŁAS - ARSENAL - AGOSTINO - CISZA - ILUZJON - SZAKAL - FAKTURA - INSTANT - KOPYTO - ANATOL - GOŁOLEDŹ - SAMI - MAKARON - MATYLDA - KWIAT - KOLARKA - MALAJKAT - TASMANIA - POŻAR - SAMSON - MASKOTKA - WIKT - KANSAS - RUDEL - GAJOWY - ADMIRAŁ - NANDU - AKANT - PIROGA - DODAJNA - MATMA - ARKAN

Pionowo:
ZACZYN - GAMMA - OMIJANIE - MAGIA - SROKA - LEŻAK - ŁOSKOT - ŁATKA - ASTRONOM - PASZA - AZORY - JORK - UWAGA - STALIN - LOLEK - ORDYNAT - TREND - ATUT - MANIFA - AKTA - LAUDA - ROLA - KAŹŃ - SSAK - UKŁON - KLEMA - ARMADA - MESZT - PASYWA - AMEN - IKAR - JUDYTA - IRONS - STRAJK - BAJOR - TOMBAK - IOWA - ANNA - NAPOLI - TARAN - SUŁTAN

Hasło: materiał rzeźbiarski

Pierwszy Czytelnik, który nadeśle prawidłowe rozwiązanie, będzie ogłoszony w następnym numerze magazynu „Kuriera Wileńskiego" za 2 tygodnie. Nadesłanie odpowiedzi na wskazany wyżej adres jest uznane za jednoczesną zgodę na opublikowanie imienia i nazwiska zwycięzcy w formie podanej przez Czytelnika. Zalecamy też pochwalenie się miejscowością zamieszkania!

Zwycięzca: Henryk Tomaszewicz (Wilno)

Pod uwagę nie bierze się zgłoszeń pracowników redakcji oraz członków ich rodzin.

Ułożył Roman Głowacki

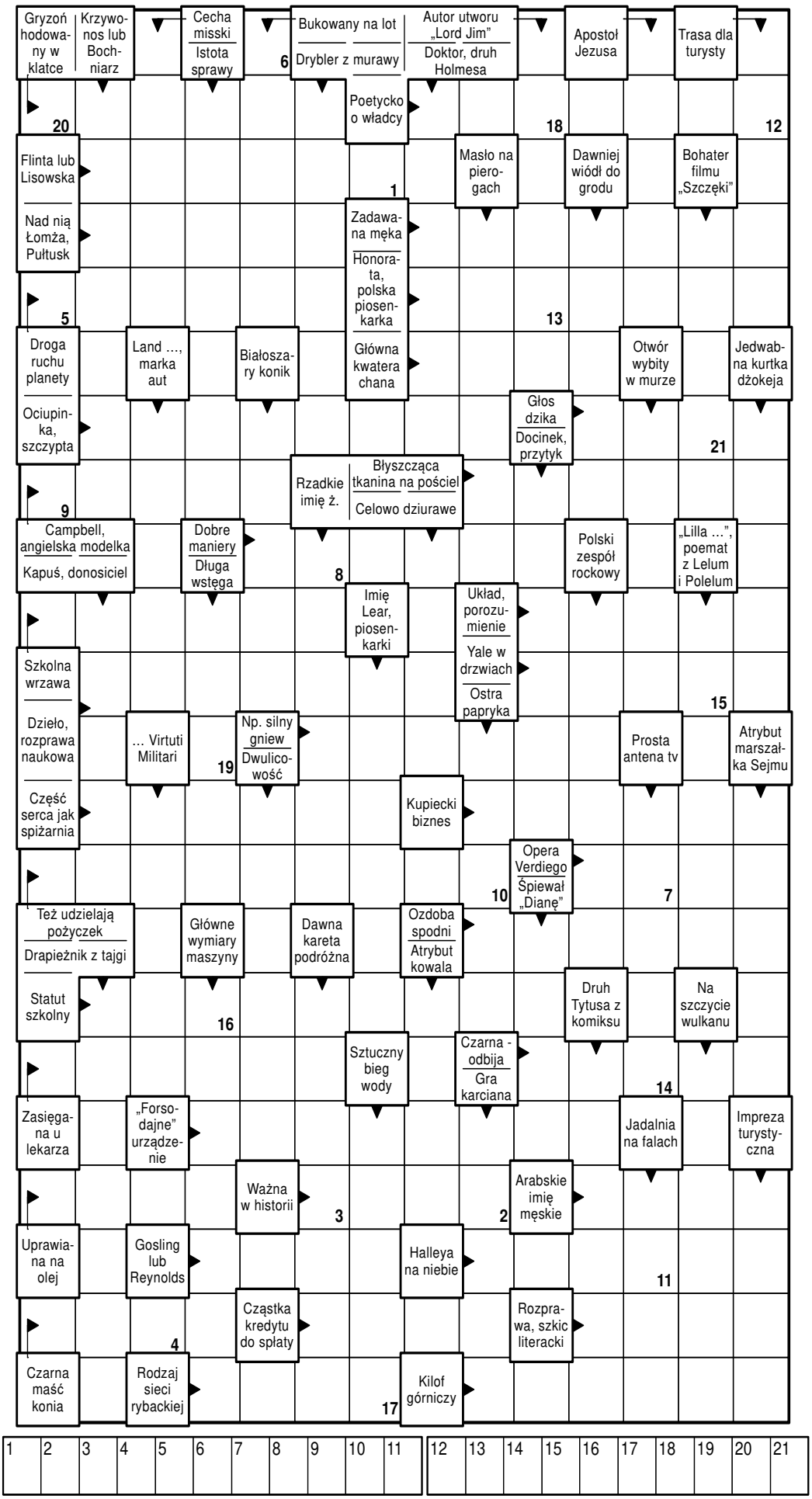

eprasa.pl 46502a485c

ZIELNA

ŚWIĘTO MATKI BOSKIEJ ZIELNEJ

15 SIERPNIA 2026 R.

W PODBORZU

GODZ. 12.00
MSZA ŚW. ODPUSTOWA
W KOŚCIELE PW. WNIEBOWZIĘCIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

GODZ. 14.00
KONCERT
NA STADIONE SZKOŁY
PODSTAWOWEJ

W PROGRAMIE

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
EJSZYSZCZANIE

WOKALISTKA
JUSTYNA STANKIEWICZ

Centrum Kultury

Parafia
Wniebowzięcia Najświętszej
Maryi Panny w Podborzu

eprasa.pl 46502a485c